Nr. 48. Warszawa, dnia 14 (26) Listopada 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Przed i za Litawą.

Peszt pozazdrościł Wiedniowi: w obu już teraz sejmach ulicznikowskie i karczemne tamowanie obrad przeszło w metodę; w obu ugoda, od której zależy prawno-polityczne współistnienie obu państw, czeka na ów potępiony paragraf 14 konstytucyi przedlitawskiej z r. 1867, i na odpowiadający mu artykuł konstytucyi węgierskiej, aby wypłynąć z odmętów i zastąpić wolę sejmów, nieistniejących jako subjekty prawa, wolą wspólnego monarchy, prawnie powołanego do rzucenia tonącemu porządkowi ostatniej deski ratunku. Nigdy jeszcze ta dualistyczna monarchia Beusta nie przebywała chwil tak ciężkich, nie znajdowała się w takim stopniu na łasce namiętności ludzkich, nie trzymała się jako państwo i mocarstwo jedynie tylko swą wspólną armią, jak obecnie; nigdy też mocarz władający czterdziestu milionami ludzi — nie był tak prawdziwie ukrzyżowanym, jak w tej chwili cesarz Franciszek Józef przed radosnym jubileuszem półwiekowych rządów. Dla myślącego dostrzegacza zjawisk politycznych to, co się dzieje i w Wiedniu i w Peszcie — tam już od półtora roku nieprzerwanie, tu prawie od miesiąca, po dawniejszych sporadycznych wybuchach — jest jakby jednym aktem oskarżenia przeciwko parlamentaryzmowi źle urządzonemu, przeciwko wolności politycznej, uzbrojonej tylko w prawa a wyjarzmionej z pod obowiązków, pojętej i zorganizowanej jako użycie, przyjemność, rozkosz, a nie jako niezbędna, organiczna funkcya w życiu państwa.

Rzecznikiem Prusaków austryackich był Schönerer, pierwszy, zarodowy wyznawca idei wszechniemieckiej w Austryi, patryarcha tej rodziny zdrajców, którym tylko zła organizacya wolności parlamentarnej pozwala zasiadać w fotelach Izby deputowanych, zamiast na ławach oskarżonych i stołkach więziennych. To jawne, bezwstydne odwołanie się do Berlina, to zagrożenie interwencyą, jakiego się dopuścił Prusak korzystający ze swobód Austryi na szkodę Austryi — było już samo w sobie czynem wyzucia się z obywatelstwa austryackiego, i w dobrze urządzonem państwie, gdzie zdrajca nie może być obywatelem, Schönerera jużby teraz nie było w Izbie; nie byłoby, ale jest i, co w tem wszystkiem najgorsze, miał i możność i śmiałość zaraz po pierwszem przestępstwie spełnić drugie, potwierdzić to, co już powiedział. Nie mogły go przytłoczyć prawa, bo praw niema; ale, że go nie zdusił, nie zmiażdżył żaden objaw zbiorowy, psychologiczny, że przeciwko niemu nie podniósł się krzyk, że się nie porwały na niego dusze i ręce i nie wyrzuciły go z Izby — to mogło być tylko skutkiem słabej psychiki w obozie przeciwnym, słabego odczuwania idei państwowej przez jej jedynych już w Austryi wyznawców i obrońców.

Stwierdzenie tego faktu dla przyszłości Austryi stawia wróżbę stokroć gorszą od wszystkich jej obecnych nieładów, odmętów i chaosów. Austrya i dynastya jej powinny się przygotować na wielką rozprawę dziejową z duchem jedności narodowej niemieckiej, mającym swą cytadelę w niepodległem a potężnem niemieckiem mocarstwie. Z jednej strony Niemcy austryaccy garną się do ojczyzny wielkoniemieckiej, z drugiej a ojczyzna wielkoniemiecka robi wszystko, aby ich w siebie zwolna, stopniowo wessać, najpierw umysłowo, a potem i politycznie. Płytkość sądu tylko może nie widzieć psychologicznego i logicznego związku między hakatyzmem społecznym, który stał się już rządowym, w Prusiech, a postawą pruską Niemców austryackich w sejmie i po za sejmem wiedeńskim. Prześladowanie, które prowadzi v. d. Recke, nie może nie podniecać Schönererów, Türgków i innych, nie tak jeszcze jak oni zmacerowanych Niemców do ciągłych przeciwpaństwowych czynów. Naganka na Polaków potęguje w tych Niemcach nienawiść ku wszystkim narodom słowiańskim, tamującym rozzuchwalanie się niemiectwa, samą swą liczbą wydzierającym mu marzoną hegemonii. Narodowości te mają tak prosty, tak naturalny interes w utrzymaniu Austryi, że dopiero przez nie zorganizowana na nowo całość będzie mogła rozpocząć życie oparte na trwałości. Niema ratunku: albo Schönerery i Türgki rzucą państwu niemieckiemu przez Niemców czeskich most do Austryi; albo Austrya stanie się państwem przeważnie słowiańskiem, trzymającem żywioł niemiecki pod żelaznym prętem prawa i organizacyą swoją zdolnem odgrodzić go skutecznie i trwale od wielkiej ojczyzny niemieckiej. Budowa tego muru od Czech się zacząć, i tam też najsilniejszą być powinna.

Tydzień polityczny. W Wiedniu i Peszcie w sejmach ciągły rozruch. Węgrom nie ugoda już teraz dopieka, ale Hentzi, obrońca cytadeli budzińskiej w r. 1849. Banffy, wkrótce po zamordowaniu cesarzowej, zawiadomił był Izbę, że cesarz-król pragnie, aby pomnik jego małżonki stanął na miejscu pomnika Hentziego, który prawdopodobnie przeniesiony będzie na cmentarz poległych przed półwiekiem. Rzeczywiście postanowiono go przenieść na podwórze szkoły kadetów: myśl niefortunna. Pogorszył sprawę jeszcze Krieghamer, wspólny minister wojny, wychwalając bohaterstwo, a nie poleczył jej ściśle już węgierski Fejervary, przyznając męztwo poległemu w obronie Austryi na ziemi wę-

gierskiej. Zrobił się wielki bukfw sejmie, w którym parę tygodni przedtem już opozycya ilostra, i łagodna, narodowcy Aponiego i Kosutowcy przeciwko ugodzie z Przedlitawią i Banffemu, stosowali z powodzeniem metodę parlamentarną wiedeńską. Od 21 do 23 b. m. działy się i w samym sejmie i w jego pobliżu, na ulicach miasta, zbiegowiska, starcia, bijatyki, walki zażarte. W sejmie walczono wymysłami; na ulicy, w politechnice i w uniwersytecie pięścią, kijem i nawet rewolwerem. Uruchomieni studenci wyższych zakładów naukowych tak dzielną agitatorom dali pomoc, że politechnikę np. policya zdobywać musiała.

Sprawa ugody w Peszcie stoi rozpaczliwie nietylko dla Przedlitawii, ale i dla Węgier, o ileby musiała być załatwioną parlamentarnie. Ustąpienie Banffy'ego, już wprowadzone w tok usunięcie Krieghammora mogą naprawić humory węgierskie. Rozum stanu na Węgrzech potrzebuje być w humorze, aby robić coś użytecznego: może i teraz, odzyskawszy humor, nie zmarnuje swej energii na śmiedorzeczne wypluwanie gniewów.

W Wiedniu komisya Izby d. 19 b. m. przyjęła § 1 układu o cła i stosunki handlowe. Jest to jasny, choć drobny, promyczek w majestatycznych mrokach chaosu. W Izbie d. 15 b. m. Jaworski i Czesi wnieśli dwie osobne interpelacye o nowe rugi pruskie: wypędzenie Polaków poddanych austryackich, już nietylko parobków, robotników, machin żywych rolnictwa i przemysłu, ale drobnych przemysłowców i rzemieślników już osiadłych, młodzieży uczącej się, nawet ludzi starszych, oddających się t. zw. zawodom liberalnym, o ile na nie pozwalają prawa. P. Tiedeman, prezydent regencyi bydgoskiej, pragnąłby zniemczyć nawet kościół.

Cesarz Wilhelm zawinął d. 22 b. m. do Poli.

We Francyi wykryto nowe listy Esterhazego, rzucające na szubrawca światło, a na sztab generalny cień nader złowrogi. Z przesłuchania Boisdeffre'a przez sąd kasacyjny przeniknęła na zewnątrz wiadomość, że naczelnik sztabu wiedział o poszukiwaniach Picquarta w archiwum, a poznawszy ich doniosłość, wysłał odkrywcę dowodów przeciw Esterhazemu na Saharę.

Stany Zjedn. przedłużyły Hiszpanii termin fatalny do 30 b. m.

D. 17 b. m. król Humbert zagaił sejm.

Kreta od zeszłego tygodnia wolna jest od Turków. Ks. Jerzy wkrótce zostanie komisarzem europejskim, albo generalnym gubernatorem tureckim.

D. 24 b. m. zebrała się w Rzymie konferencya przeciwko anarchizmowi i anarchistom. Uczestniczy w niej i Anglia i Szwajcarya; jedne tylko Stany Zjedn. uchyliły się od współdziałania.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA KRAKOWSKA.

16 listopada.

Ciągle stan wyjątkowy. — Ankieta szkolna. — Sekcya szkolna i opinia publiczna. — Zwycięztwo demokratów. — Zmartwychwstanie *Życia*. — Wystawa chryzantemów. — Ogrodnictwo.

Zaraz na wstępie muszę wytoczyć szanownej redakcyi *Prawdy* proces za dyskredytowanie powagi i wiarogodności swojego korespondenta. Proszę pamiętać, że moje kroniki mają nie byle jakie znaczenie w tutejszym ruchu umysłowym. Niezliczone razy zdarzało mi się, że ktoś podsuwał mi przed oczy moje własne dzieło i mówił, stukając palcem: „Patrz pan, panie tego, co ten, czy ta Caeca wypisuje tutaj o nas.“ Jakże wobec tego wyglądała przypisana przez redakcyę do ubolewań moich na temat trwania stanu wyjątkowego uwaga: „został zniesiony,“ zwłaszcza że trwał on wówczas jeszcze w całej pełni.

Stan wyjątkowy zniesiony został w Krakowie i powiecie Krakowskim dopiero przed trzema dniami. Niech się jednak nikt nie trwoży, żeby przez to zmieniony został wyjątkowy stan umysłów krakowskich. Luminarze nasi podtrzymują wytrwale sztandar naszej wyjątkowości i ufamy, że nie prędko dzierżyć go przestaną. Oto niedawno jeden z naszych uczonych pedagogów rozwodził się długo i szeroko na obradach we Lwowie, że niedorzecznością jest rozprawianie nad reformą szkół, bo przecież nie szkoła jest dla uczniów, tylko uczniowie dla szkoły, że jeśli wyniki nauczania są złe, to nie winien temu system, tylko ci, którzy do niego przystosować się nie chcą, że nareszcie póty nie będzie dobrze, póki w przyjmowaniu do szkół średnich nie postawi się przynajmniej takich wymagań, jakie obowiązują przy udzielaniu szambelańskiego klucza — nie powinna bowiem uczęszczać do nich rozmaita hołota. Nie wszyscy zgodzili się na to zapatrywanie pana profesora, zaznaczyć trzeba jednak na chwałę naszego grodu wyjątkowo jego w tej sprawie stanowisko. Niestety, nie wszyscy dorośli do tak szczytnego pojmowania zadań szkoły średniej, bo oto z łona Rady miejskiej wyszedł, jako delegat do szkolnej — poseł Jan Rotter, który krańcowo przeciwne w tej sprawie zajmował stanowisko. Zdaje się jednak, że nietyle poczucie potrzeby reform i stworzenia jednolitej szkoły średniej, ile wrodzona u wszystkich przeciętnych śmiertelników nienawiść do łaciny i greki wyjednały taką popularność dzielnemu szermierzowi odrodzenia systemu średniego nauczania.

Wybór posła Rottera ma doniosłe znaczenie nietylko jako objaw pewnego zwrotu w zapatrywaniach reprezentacyi miasta na stanowisko delegata do Rady szkolnej, jest on nadto z punktu widzenia politycznego zwycięztwem demokratów nad konserwatystami—dotychczas bowiem delegatem m. Krakowa był hr. St. Tarnowski.

Dyrekcya kursów Baranieckiego powierzyła wykład literatury powszechnej p. A. Górskiemu, bardzo zdolnemu literatowi, który z przedmiotem doskonale był obznajmiony i odznaczał się niezmiernem bogactwem i barwnością języka zarówno w piśmie, jak w mowie. Nie podobało się to redaktorowi pisma antysemickiego, antykulturalnego, antynaczelnego itd., który miał dawne z p. G. obrachunki. Zapłacił przed paroma laty koszty procesu i odpokutował karą więzienną potwarz i denuncyacyę rzuconą niewinnie na p. G. Chcąc pomścić swoją krzywdę, zadął w zwyczajną swoją dudkę obłudnej religijności, na której hasło spłoszone gęsi zagęgały głośno i obudziły zapał rycerski w ojcach miasta. Sekcya szkolna Rady miejskiej, bez zbadania sprawy, bez zaznaczenia powodów, wykreśliła p. Gorskiego z listy wykładających na kursach Baranieckiego. Miała do tego tylko to prawo, że swoim kosztem je utrzymuje.

Czyżby prawdą było, że za tę cenę kupiono głosy zwolenników antysemickiego dziennika?

Odwróćmy oczy od tej brudnawej sprawy i rozejrzyjmy się, czy coś jaśniejszego nie zabłyśnie na widnokręgu naszym, żeby zmęczone kilkodniową mgłą oczy rozweselić. Wyszedł nowy numer *Życia*, trzeci odkąd pismo to objął pod swój kierunek St. Przybyszewski przy dzielnej pomocy

---

Wacław Sieroszewski.

WRAŻENIA Z BIAŁOWIEŻY.

Wjechaliśmy pod cienie drzew na drożynę, gdzie koleiny lodwie znać było na mchach i igliwiu. Bryczka niemiłosiernie trzęsła się i stukała po korzeniach, przeskakiwała zwalone pnie i dziury wyrwisk. Leśne, nawykłe koniki stąpały po tych dyląch jak po równej drodze. Po niejakim czasie wyjechaliśmy na wielką jasną polanę, oprawną ze wszech stron w ciemny bór. Pośrodku wśród zboża i ogrodów rozległa się pięknie, obszernie zabudowana wieś. Smukłe, modrooki kobiety w kryziastych koszulach, w jaskrawych „wełniakach“ i czerwonych chustkach na głowach odpowiadały nam skwapliwie przyjaznym uśmiechem na „pochwalonego.“ Chłopi kłaniali się grzecznie, ale w milczeniu.

— To Budy Teremiskie.

Uderzyła mię znaczna ilość wioskowego bydła i koni.

— Zamożnie żyją!

— Tak! Zacięta wieś... Ale im nonie kniaź Jaźwiński *) chodu nie dajel

Niedaleko tej wsi, na lewo od drogi dostrzegliśmy omszony, wysoki na dwa sążnie częstokół zwierzyńca. Nie traciliśmy go już z oczu, aż do samych Trzecich Bud, które stoją na tyłach zwierzyńca wprost środkowej jego bramy.

Zbierało się na deszcz. Duszny upał spopielił i pozbawił blasku błękit nieba. Szare obłoki kupiły się i przesuwały nad lasem, który to posępniał w przykrych, ołowianych ich cieniach, to mdlał w potokach matowego światła. Niespokojny wietrzyk daremnie silił się rozkołysać ciężkie, obwisłe konary drzew. Aby rozruszać to przestworze, zatkane pniami, liśćmi, nasycone ciepłą parą oddechu drzew i ich smolistym aromatem, potrzebna była burza. Więc swawolnik nie zapuszczał się w gęstwinę i hulał tylko na szerokich leśnych polanach, na przerzedzonych porębach, na drodze prostej jak strzała, jednostajnej jak życie niewolnika. Wesołym, urywanym szelestem wyrażał zadowolenie, że żółte wiry kurzu — wysmukłe i nikłe — uciekały przed nim, że drobniejsze krzewy, trawy i kwiaty chyliły się pokornie pod gorącem jego dotknięciem. Czasem targnął cieniuchną gałąź brzozy nawisłej nad drogą, szturgnął osinę lub uleciał wysoko i musnął korony sosen. Wtem las zadudniał pod uderzeniami dużych, brylantowych kropel. Wietrzyk przypadł do ziemi i ucichł. Za borem mignęła błyskawica i mdławo potoczył się grzmot.

Zdążyliśmy jednak przed deszczem przejechać wieś i w sam czas zatrzymać się u wrót białej chatki, zalotnie wyglądającej z po za drzew małego sadu, brunatnych kłód uli i kiści różnobarwnych kwiatów.

— Tutaj stają zawsze wszystkie panowie—objaśnił woźnica.

Chmara dzieci rozmaitego kalibru otoczyła nas.

— A gdzie gospodarz?

Krępy, zawiędły chłop, w zgrzebnej białej koszuli, który opodal ciosał na zrąb belki, wotknął w drzewo siekierę i podszedł ku nam.

— A co tam?

— Niech będzie pochwalony?

— Na wieki wieków. Witajcie... A skąd to?

— Z .. Białowieży. Czy nie ustąpili byście nam izby na dni kilka?

Zmierzył nas uważnie spokojnem spojrzeniem. Oczy miał niewielkie, czarne, mazowieckie; wąsy i włosy — płowe.

— Proszę pierwej wejść. Niech państwo

*) Przekręcone Wiaziemski.

młodego i bardzo utalentowanego, choć trochę zmanierowanego malarza, oraz znanej w Warszawie z naukowych prac p. Daszyńskiej. Pismo po raz drugi zmartwychwstałe przedstawia się bardzo zachęcająco i jak się dowiadujemy, po każdym numerze prenumeratorowie licznie przybywają. Przedewszystkiem bardzo staranna i artystyczna forma zewnętrzna. Ilustracye dają nam przeważnie dzieła autorów najmłodszych — „najoryginalniejszych.“ *Życie* jest jedynem u nas pismem, które zaznajamia z temi poszukiwaniami „nowych dróg duszy.“ Część literacka jest zwykle zajmująca, choć niekiedy trochę dziwaczna. Z wyjątkiem St. Przybyszewskiego, którego niezwykły talent sprawia, że nawet rzeczy najfantastyczniejsze, najmniej dla zwykłego zjadacza chleba zrozumiałe, porywają wprost pięknością języka i bogactwem fantazyi, opowiadają nam niekiedy nasi najmłodsi zbyt rozbujało rzeczy „o duszy.“ Obrazki te przypominają mi zawsze dość swawolną anegdotkę o chłopku, który zaręczał, że widział duszę, jak wychodziła w bieli przez okno i słyszał za nią głos wołający: „wróć jeszcze, moja duszo!“

Dusza naśladowców Przybyszewskiego jest zwykle z tego samego raju.

Jesień naszą mglistą, przejmującą chłodem, ozłociły nam wspaniałe chryzantemy, które w ogromnej ilości odmian i niezmiernym ich przepychu ukazało nam Towarzystwo ogrodnicze. Ponieważ jednak w Galicyi, a w Krakowie w szczególności panuje we wszystkiem stan wyjątkowy, więc i na wystawie złocieni dowiedzieliśmy się, że najwspanialsze chryzantemy hoduje profesor... chemii.

Przy sposobności muszę zaznaczyć niezwykłą energię naszego Towarzystwa ogrodniczego, które obudziło nadzwyczajny ruch w dziedzinie ogrodnictwa krajowego. Najwymowniejszym wyrazem tego ruchu jest fakt, że organ Towarzystwa, wychodzący od kilku zaledwie miesięcy, ma już podobno blizko tysiąc prenumeratorów, co na pismo specyalne w Galicyi jest rzeczą niesłychaną *).

Caeca.

*) Zapewne „Ogrodnictwo“ krakowskie nie zajmuje się głównie, jak my tu, Ameryką, Australią, możliwie najrzadszemi roślinami i najdziwaczniejszymi... projektami. Może tam ludzie donoszą, co wypróbowali, a my ciągle powtarzamy: „warto wypróbować.“ *Red.*

„BIBLIOTEKONOMIA.“

Większość czytelników słyszy prawdopodobnie po raz pierwszy wyraz, postawiony w nagłówku naszego artykułu i lubo pojmuje znaczenie jego składowych części, przecie wątpię, czy zdaje sobie dokładną sprawę z treści, która ukrywa się w pojęciu: „bibliotekonomia.“ Wyrażono w nim bardzo naglącą potrzebę chwili bieżącej, mianowicie konieczność zapobieżenia anarchii, istniejącej w zakresie wiedzy książkowej i coraz bardziej dokuczającej badaczom. Nauka tak wyspecyalizowała się z jednej strony, tak, z drugiej, posiada liczne ogniska, że uczonemu coraz trudniej śledzić piśmiennictwo swego własnego przedmiotu i ogarnąć całokształt dokonywanych przyczynków. Materyał jest rozstrzelony lub, z powodu anarchii, niedostępny, a często niewiadomo, nawet gdzie go należy poszukiwać. Zdarza się niekiedy, iż poszukiwana książka lub praca znajduje się tuż pod ręką badacza, a przecież tylko przypadek może naprowadzić go na jej ślady. Zwłaszcza stosuje się do monografij specyalnych, stanowiących zwykle najpoważniejsze nabytki wiedzy. Żadna książka, a tem bardziej podręcznik, przynajmniej w działach osobiście mi znanych, nie znajduje się na poziomie tego, co w danej gałęzi zrobiono. Przybywa wciąż nowy a cenniejszy materyał, gromadzony w czasopismach specyalnych, które nawet swoim nagłówkiem nie zdradzają właściwej treści. Mnożą się towarzystwa naukowe, akademie wydawnicze—w koloniach, ogłaszające prace swoje w stałych rozprawach i pamiętnikach w których mieszczą się razem rzeczy nic wspólnego co do treści z sobą niemające, a nieraz w najwyższym stopniu cenne. Mógłbym wskazać wiele wydawnictw, których jednak nie znajdujemy nawet w takiej bibliotece berlińskiej, jednej z największych — poprostu dlatego, że wiadomość o nich nie dotarła jeszcze do zarządu, acz pilnie śledzi on rozwój piśmiennictwa międzynarodowego. Rozkład ten niech nam starczy za dowód, jak porozumiewanie się co do istniejącego materyału, zawartego szczególniej w wydawnictwach peryodycznych, jest utrudnione.

„Bibliotekonomia“ jest właśnie wyrazem dążeń, podjętych w celu zaprowadzenia jakiegokolwiek ładu w tym zamęcie, zcentralizowania informacyi o piśmiennictwie nietylko pojedynczego działu, ale całej wiedzy, o ile zawarła się ona w druku, wreszcie ustalenia jedności, któraby umożliwiała oryentowanie się w tym zasobie, jaki już istnieje. Wydawnictwa bibliograficzne powinny, zdawałoby się, usunąć część tych niedomagań. Są one jednak środkiem przestarzałym w takiej formie, w jakiej istnieją. Doba dzisiejsza domaga się innych sposobów, bardziej czyniących zadość potrzebom wiedzy.

Są próby skuteczniejsze wyjścia ze stanu anarchii tegoczesnej.

Amerykanom należy się zasługa, że pierwsi sformułowali zadania ciążące na bibliotekach, które nietylko powinny być zbiorem książek, ale także umiejętnem skupieniem materyału w nich zawartego, i spisaniem treści posiadanych skarbów. Za Atlantykiem powstała myśl dokonania inwentarza prac istniejących w czasopismach w języku angielskim, wykonano zaś ją na drodze zrzeszenia. Około 50 współpracowników, rozproszonych po bibliotekach angielskich i amerykańskich, ułożyło spis artykułów, zawartych w kilkuset czasopismach od r. 1802. Tam ukazały się po raz pierwszy kursy specyalne, mające przygotowywać wykwalifikowanych bibliotekarzy, którzyby byli obeznani ze wszystkiemi zadaniami i wymaganiami wiedzy. Takich *écoles du livre*, jak mówią Francuzi, istnieje obecnie w Stanach Zjednoczonych kilka; wielka zaś liczba kursów pochodzi z wielkiego zapotrzebowania, jakie pod tym względem istnieje za morzem (znajduje się tam przeszło tysiąc bibliotek). Zajęcie bibliotekarskie przestało być zarobkiem, do którego pierwszy lepszy wykształcony dyletant wziąć się może, lub synekurą, umożliwiającą komuś pracę naukową, lecz zamieniło się na zawód, wymagający uprzedniego przygotowania i poznania zadań, stawianych przez życie, a przedewszystkiem przez wiedzę, tym kopalniem materyału. Tam wreszcie, w Ameryce północnej, powstał plan ujednostajnienia systemu notowania i klasyfikowania książek, tak znany system dziesiętny, a doniosłość jego bynajmniej nie przecenim, powiadając, iż odrazu stawia na innym poziomie technikę katalogów w biblioteHTML

---

z bryki zejdą. Wikta biegaj po matkę! zawołał na ośmioletnią dziewczynkę z lnianym warkoczem i błyszczącemi jak ciarki oczami.

Weszliśmy do izby dość czystej, dość widnej, wybielonej wapnem, obstawionej przy ścianach zielonemi ławami w czarne kwiaty. W lewym rogu stał podobnie malowany stół, a nad nim w górze wisiał poczerniały obraz Bogarodzicy i cały szereg wielce jaskrawych świętych. Przez otwarte okna zaglądały z ogródka żółte dziewanny, purpurowe malwy, błękitne ostróżki, wlatały z wesołym brzękiem pszczoły, bąki, nawet motyle, a w dali widać było las zasnuty błyszczącemi strugami dżdżu, przelotnie przestrzelonego słońcem już przyćmionem przez chmury.

Gospodarz wzdragał się powiedzieć, wiele chce za izbę.

— Gdyby na dłużej, na miesiąc... na dwa, ale tak... Nie jestem Żyd! Weźmę co dacie!...

— A jeśli nie nie damy?

— To też do sądu nie pójdę!

Na żądanie podano nam samowar dość mały i dość dawno... nieczyszczony. Herbata była obrzydliwa. Chleba też nie mieli, tylko razowy i tylko dla siebie. Zato gospodyni, młoda jeszcze, przystojna kobieta przyniosła nam miodu, pysznego, aromatycznego miodu, jakiego pewnie nigdzie nie ma prócz tej puszczy.

Jak tylko deszcz, który lał dobrych parę godzin, przestał padać, wyruszyliśmy natychmiast do boru. Obmyty, świeży, przejrzysty — był podobny do cudnego pałacu, nakrytego sklepieniem z chińskiego nefrytu. Dołem wśród chropawych pni słał się seledynowy zmierzch a w górze niby muślin rozpylonej tęczy migotała w słońcu mgła zatrzymanej na liściach i gałązkach wody.

Z początku szliśmy przykładnie ścieżką. Lecz trzeba przyznać, że chodzić ścieżką po lesie jest bardzo nudno. Więc choć wysokie zioła groziły nam wstrętną szarugą, choć wilgotny mech piszczał pod stopami jak namokła gąbka, zwróciliśmy w bok, w ciemną głębię, gdzie piętrzyły się stosy zwałów i sterczały tarcze wykrotów, gdzie czarne plamy cieniów i błękitne półcieniów mieszały się kapryśnie ze złotym deseniem słońca, ze rdzawem tłem leśnej ściółki, z siwymi rzutami porostów i jasno-zieloną koronką paproci. A wszystko powlekała i ćmiła tajemnicza seledynowa dymka, płynąca z wysokiego stropu.

Po „tajgach“ północnej Syberyi, po zabajkalskich „urmanach,“ po puszczach Kaukazu otrzymałem tu wrażenia leśne zupełnie nowe i zajmujące.

„Tajga“ nie jest gęstą. Ma dużo niegrubych pni, dużo gałęzi i dużo powietrza. Często przedstawia zwykłą szarą sieć chrustu. Gdzie spojrzeć prześwieca blade niebo. Las — w rzeczywistości czarny, osmalony, kołtunowaty, wydaje się w skupieniu delikatnie bladym od przewagi złotozielonych modrzewi i obfitości światła. Słońce w tajdze nie tworzy olśniewających smug, ostrych strzał, cętków i plam o krawędziach wyraźnych jak grudy rozsypanych dukatów; nie rzuca również głębokich, żałobnych cieniów; ono przenika wszędzie i kładzie na grzędy pokotem ułożonych, omszałych zwałów deseń płytki, misterny i bardzo ruchomy. W tajdze prawie nie ma podszycia, nie ma wesołych szmaragdowych łąk, jest za to mnogość jezior, kępiastych bagien i moczarów, gdzie drzewa chore, słabo ulistnione, sterczą krzywo w rozmaitym kierunku, jak sterczy zarost na pomarszczonem obliczu azyaty. Tajga martwa. Prócz szumu wichrów, plusku fal, trzasku padających drzew, wędrowiec nic nie usłyszy — w jej głębi. Gdy drzemie, można dziesiątki wiorst przebyć i mieć za towarzysza tylko stuk kopyt własnego wierzchowca. Cały jej urok w jej smętności i jej bezmiarze.

„Urmany“ południowej Syberyi, są to gniazda boru tak rosłego, zwartego i ciemnego, że ma pozór jakiejś olbrzymiej lo-

kach i możność orjentowania się w inwentarzu.

Próby te oddziałały także na naszą część świata, w której spotkały się zresztą z inicyatywą miejscową w tym kierunku.

Zjawiły się naprzód zakłady prywatne, po prostu przedsiębiorstwa, udzielające potrzebnych informacyi. Istnieją one w wielu punktach Europy. Jako przykład zatrzymamy się nad biurem bibliograficznym berlińskiem, założonem w r. 1888. Ma ono na swoje rozkazy około 600 badaczów, i w ten sposób ogarnia prawie wszystkie ważniejsze biblioteki i archiwa. Za pewną opłatą dostarcza wskazówek, dotyczących danego przedmiotu, i prowadzi inwentarz materyału, zawartego, jak zapewnia, w 1,600 czasopismach, podejmuje się dokonywania notatek i tłomaczeń. Nieco podobny zarys działalności posiada instytut bibliograficzny w Brukselli. Ale nie potrzebujemy chyba dowodzić, o ile taka centralizacya wskazówek naukowych, złożona w ręku przedsiębiorców prywatnych, nie odpowiada duchowi nauki, która powinna mieć wszystkie środki możliwie ułatwione, przedewszystkiem zaś jak dalece jest i musi być bezsilną wobec olbrzymiego zadania, wymagającego znacznych funduszów a niedającego odpowiednich zysków. Przedsiębiorstwa prywatne o tyle mogą mieć znaczenie, że podejmują się spełniania pewnych zleceń, których nikt inny dotychczas jeszcze nie spełnia.

Natomiast winniśmy położyć większy nacisk na inny szereg prób.

W roku 1896 odbyła się międzynarodowa konferencya bibliograficzna w Londynie, która uchwaliła założenie międzynarodowego urzędu bibliograficznego. Powstał on w Brukselli pod opieką rządu belgijskiego, i zajął się ułożeniem repertoryum bibliograficznego. Konferencya druga, która obradowała o rok później w Brukselli, dalej i drobiazgowiej opracowała kwestyę. Projekt takiego repertoryum książkowego posiada za sobą dalszą przeszłość. Koło literacko-artystyczne, na zjeździe r. 1895 w Dreznie, zjazdy wydawców w 1896 i 1897 w Paryżu i Brukselli, konferencya, zwołana w r. 1396 w Londynie przez Towarzystwo królewskie, wszystkie one podnosiły tę samą myśl utworzenia międzynarodowego inwentarza istniejących książek i artykułów. Jeszcze wcześniej na tę ideę wpadli specyaliści. Kongres matematyków w Paryżu w r. 1889 rozpatrywał projekt zcentralizowania informacyj, dotyczących odpowiedniej gałęzi wiedzy.

Mniejsza zresztą, jak pewne potrzeby doczekały się sformułowania. O wiele ważniejszą rzeczą jest poznanie środków, które są najstosowniejsze, ażeby stworzyć pożądaną centralizacyę i ujednostajnienie.

Ażeby je przedstawić, zatrzymamy się nad urządzeniami brukselskiemi, oraz nad ich zasadami. Mamy tu na myśli Instytut bibliograficzny.

Cele tej instytucyi streszcza ustawa. Chodzi o popieranie postępu inwentarza, klasyfikacyi i opisu produktów umysłowości ludzkiej, o wyszukanie jednostek bibliograficznych, które ułatwiłyby i udoskonaliły dokonywanie powyżej wymienionych zadań, wreszcie o rozszerzenie i spopularyzowanie idei takiego ujednostajnienia i centralizacyi.

Dokonać tych zadań można stwarzając odpowiednie repertorya bibliograficzne. Urządzenie takie powstało już w Brukselli, oparto od początku istnienia swego na czterystu tysiącach tytułów, przeważnie z dziedziny prawa, statystyki, ekonomii politycznej, filologii i literatury. Takiemu repertoryum postawiono następujące zadania. Powinno ono być przedewszystkiem kompletne, tj. ogarniać nietylko piśmiennictwo przeszłe i teraźniejsze, ale także każdy przybywający przyczynek produkcyi pisarskiej. Musi objąć ogół wiedzy ludzkiej. Artykuły, zamieszczone w przeglądach, w wydawnictwach akademij, towarzystw i kongresów powinny być notowane tak samo, jak tytuły dzieł. Instytucya musi składać się z dwóch działów: jeden ułożony według nazwisk autorów, pozwalałby oryentować się w działalności pewnego pisarza, drugi zaś oparty na treści dzieł sklasyfikowanych, dawałby informacyę co do danego przedmiotu. Każde większe ognisko ruchu umysłowego powinno posiadać takie narzędzie pracy naukowej, które nadto, oprócz wskazywania potrzebującym, jakie rzeczy istnieją w danej dziedzinie wiedzy lub sztuki, mogłoby informować, w której bibliotece da się odszukać pewne dzieło — wskazówka bardzo doniosła przy prowadzeniu specyalnych poszukiwań.

Rzecz cała polega na tem, w jaki sposób najdogodniej możnaby w takich repertoryach ujednostajnić zawarty materyał i ułożyć inwentarz. Amerykanie w tym celu stworzyli dla klasyfikacyi system dziesiętny, w zakresie zaś techniki trzymania materyału, zasadę kartkową.

Twórcą systemu dziesiętnego jest bibliotekarz amerykański, niejaki Dewey, a około tysiąca bibliotek w Stanach Zjednoczonych przyjęło zasady przezeń wygłoszone. Cała wiedza i sztuka ludzka zostały rozdzielone na dziesięć grup, oznaczonych przez stosowne liczby. Dziesiąta cyfra, mianowicie zero, ogarnia książki treści ogólnej (encyklopedyo, bibliografie, katalogi, czasopisma treści niespecyalnej itd.). Każda z tych dziesięciu grup rozpada się na dziesięć działów, każdy dział na dziesięć poddziałów, te jeszcze na dalsze cząstki, jak dalece rzecz okaże się potrzebną. Dzieła np. traktujące o elektryczności, należą do piątej grupy zasadniczej, obejmującej nauki ścisłe; w niej wchodzą w skład trzeciego działu, poświęconego fizyce, w tym zaś dziale stanowią siódmy poddział. Dzieła więc, zajmujące się zjawiskami elektryczności, nosić winny sygnaturę 532. W podobny sposób znak dla książek, poświęconych, dajmy na to, towarzystwom handlowym we Francyi, będzie 347,72 (44). Składa się on z dwóch znaków, jednego 347,72 dla towarzystw handlowych, drugiego zaś 44 dla Francyi (geografii Francyi). Pierwszy powstał z części następujących:

3 społecznoznawstwo,
4 prawo,
7 prawo prywatne,
7 prawo handlowe,
2 towarzystwa handlowe.

Naturalnie nie trzeba w systemie dziesiętnym szukać jakiejkolwiek idei filozoficznej, związanej z klasyfikacyą wiedzy. Jest to tylko próba ułożenia książek praktycznie, gdy trzeba odszukać dzieło, traktujące o danym przedmiocie. Oparto ją na wielkim zasobie doświadczenia zdobytego w ciągu lat kilkunastu we wszystkich bibliotekach Stanów Zjednoczonych. System dziesiętny zawiera w chwili obecnej około dziesięciu tysięcy tytułów i rubryk klasyfikacyjnych. Kwadrans, wreszcie godzina pracy zaznajamia nas z jego wszelkiemi tajemnicami, pozwala autorowi, przy druku książki, postawić w tytule stosowną liczbę, która odrazu wskazuje, w jakim dziale należy ją zamieścić —

śnej piwnicy. Wyrastają one tylko w żyznych górskich dolinach lub zaciszach osłoniętych od suchych, gwałtownych stepowych wiatrów i są wkropione w obszary zwykłej, trochę tylko bujniejszej tajgi. Spotkać tam można sosny, modrzewie, świerki, cedry (limba) tak potężne jak nigdzie. Guzowate ich cielska, gruba, spękana kora, kręte, szeroko rozrzucone konary, ogromne zwoje korzeni, jak polipy oplątujących złomy skał — robią wprost potworne wrażenie. Niema żadnego podszycia. Nic nie rośnie w cieniu tych północnych olbrzymów. Wilgotno, cicho, czarno jak w katakumbach. Promień słońca, gdy się przekradnie szczytowym otworem, świeci smutno, mdło, jak przez więzienne okienko. Drzewa żyją, władają wieki i... konają wieki. Zwały upadłych tworzą wysokie stosy, na których ciężko wspierają się kadłuby późniejszych nieboszczyków. Toczone przez robactwo, jedzone przez pleśń i liszaje, obłupane z kory, boleśnie wygięte, obwisłe, rysunkiem swych boków, pochyleniem sęków wyrażają namiętne pragnienie lodz i wypocząć nareszcie na ziemi. Przyciśnięci przez nich towarzysze, grubi i tędzy, zachowują obojętność skamieniałych tytanów, charławsi wyginają się poczwarnie jak kupa przyduszonych jaszczurek. Najśmielszy, najzręczniejszy myśliwiec nie odważa się daleko zapuszczać w te żałobne ostępy. Przedrzeć się przez nie znacznie trudniej, niż wspiąć na najstromsze skały. Tu tylko kryje się ryś po nocnych rozbojach lub lękliwie przesunie wszędzie prześladowany, „wieczny tułacz,“ soból.

Puszcza Kaukazka to znowu świat kontrastów, to śliczny gotyk, pełny mrocznych cieniów, smug światła i stłumionych barw. Pnie drzew równe, niezmiernie wysokie, z korą gładką, delikatną tworzą miejscami obszerne, schludne, przewiewne kolumnady, gdzie pachnie mocnym aromatem południa, gdzie czuć, że nad zielonym koron baldachimem świeci dzień olśniewająco jasny i gorący. Miejscami znów roślinność zbija się tu w nieprzebyte gąszcze, w wojłok utkany z pni dębów, buków, z pnączy, z dzikiego winogradu, bluszczu, z tysiąca krzewów, pędów, latorośli... Górzysty las śmiało czepia się stromości, urwisk, spełza w przepaście po szczelinach skał. Ma nieskończoną rozmaitość spadków i ugrupowań, rozmaite podłoża, podlesia i nieskończenie rozmaitą roślinność. Bujny, pachnący, soczysty lubi dawać strzeliste odnoża, formować smagłe drzewa o wężowych gałęziach i małych głowicach, niknących w niebotycznem, wspólnem sklepieniu. Gatunki dają się poznawać tu tylko po korze, po spadłych liściach i owocach; u osobników widać dobrze tylko odziemia i korzenie Zwałów mało, gdyż przeważa las liściasty, którego tęgie, giętkie łapy niełatwo wyrwać z ziemi; upadłe drzewa szybko butwieją, zostają pożarte przez robactwo, pasorzytne rośliny, starte na próchno, wessane przez ziemię. Tu nie martwo, nie cicho, choć zaciszno, choć w najpotężniejszą burzę: gdy górą przewala się z strasznym łoskotem orkan, w dole można zapalić zapałkę bez obawy, że ją wiatr zgasi. Ale dźwięczeć i szemrać puszcza tutejsza nie przestaje na chwilę, nawet w nocy. Nic nie widać, lecz czuć, że życie tętni, drga, przelata w brunatno-zielonym cieniu drzew, przekrada się przez krzewy bukszpanów, przedziera przez gaje jaśminów, przez gąszcz rododendronów o różowych kwiatach, że ono śliźga się pod parasolami olbrzymich paproci i łopuchów, trąca sennie wiszące lijany. Wciąż można spodziewać się, że coś niespodzianie wychynie z nieznanego wnętrza i przeraźliwy krzyk zmąci rozkoszną serenadę lasu. Mieszkaniec wyższych szerokości globu musi się z tem życiem zwyknąć, nim je polubi; z początku ono dla niego jest za nużące, za bogate, za rojne i za... mroczne.

(C. d. n.)

w takich warunkach będzie niemożliwem, ażeby *Mémoires* Pawła Broca, traktujące o antropologii, umieszczono pomiędzy pamiętnikami i biografiami, jak znalazłem w pewnej bibliotece. Książka zaś, źle zapisana do katalogów, niekiedy skutkiem tego staje się niedostępną.

Technika stawia pewne wymagania i sposobowi, w jaki tytuły mają być notowane. Doświadczenie wykazało, iż najodpowiedniej w tym celu jest używać oddzielnych karteczek dla każdego nagłówka i stosownie je łączyć i nawlekać. Na razie obojętną będzie dla nas ta strona sprawy, tj. urządzenie techniczne i trzymanie inwentarza w repertoryum. Winniśmy przecież zaznaczyć dalsze skutki. Już przed kilku laty w paru punktach niezależnie wystąpiono z projektem, ażeby przy każdem dziele znajdowała się niewielka, drukowana w pewien sposób karteczka, zawierająca szczegóły bibliograficzne, dotyczące danej książki. Odrywana dawałaby się z łatwością naklejać do inwentarza. Żądania te zostały rozszerzone na obu powyżej wymienionych konferencyach do drukowania przez czasopisma spisu artykułów tak, ażeby każdy nagłówek pozwalał wyciąć się w odrębną kartkę. Zadanie repertoryów ograniczałoby się wciąganiem tak przygotowanego materyału do swoich inwentarzy.

Jakeśmy zaznaczyli, takie urządzenia powinny powstać przy każdej bibliotece. Gdyby sprawie nadano przez państwa charakter przymusowy, tj. zdaglono wydawców do umieszczania na odrębnej karteczce tytułów dzieła lub tytułów pojedynczych rozpraw i do składania pewnej liczby takich świstków, opatrzonych sygnaturą dziesiętną, naówczas zwykła wymiana pomiędzy repertoryami takiego materyału umożliwiłaby prowadzenie dokładnej statystyki działalności umysłowej międzynarodowej i powstanie instytucyj,ześrodkowujących wskazówki bibliograficzne. Istniejące w Brukselli takie urządzenie dostatecznie ujawniło swój pożytek.

W każdym razie, jeśli centralizacya i ujednostajnienie informacyj książkowych należą jeszcze do dziedziny ideału, to przecież są to marzenia, dla urzeczywistnienia których godzina już wybiła.



PAMIĘTNIK.



Lastig werden.

Niepodobieństwem byłoby zrozumieć, jaki cel praktyczny kryje się w ciągłem wypędzaniu przez rząd pruski cudzoziemców z obrębu jego państwa, gdyby wieloletnie doświadczenie nie przekonało nas, że on nie potrzebuje lękać się żadnego odwetu. Wobec tej pewności postępowanie jego jest jasnem, a nawet bardzo pomysłowem. Stosuje on bowiem względem przybyszów ten sam system, którego rolnicy używają przy nawadnianiu pól i łąk: gdy potrzeba zwiększyć w nich wilgoć, wpuszczają i rozprowadzają kanalikami wodę, którą powstrzymują, skoro dostatecznie nasyci ziemię. A więc jeżeli ziemianom pruskim brak do sprzętu plonów, rząd zamyka oczy na przypływ najmitów z Królestwa, które otwiera po żniwach i dostrzegłszy zagranicznych robotników, wypędza bez miłosierdzia. Podobnie wpuszcza on ich i wymiata w każdej innej potrzebie. Dla usprawiedliwienia swych rozkazów banicyjnych wynalazł nawet osobny i niezmiernie charakterystyczny wyraz: *lastig werden.* Znaczy to: stać się ciężarem, przeszkadzać, być niewygodnym. Wyraz ten powtarza się stale we wszystkich rozporządzeniach policyjnych, doręczanych interesowanym, którym nieraz pozostawiono zaledwie 24 godziny czasu dla przygotowania się do wyjazdu, chociażby oni mieli najważniejsze interesy, wymagające dłuższej zwłoki i chociażby ich to nagłe wyrzucenie doszczętnie rujnowało.

Dotychczas tem okrucieństwem prześladowano poddanych rosyjskich i austryackich, głównie Polaków, obecnie zaś zabrano się do Duńczyków. Podobno kilka tysięcy tych niewinnych ludzi, którzy bądź chwilowo, bądź stale osiedlili się w Prusiech i związali swe sprawy ze stosunkami miejscowymi, musiało w ciągu paru tygodni porzucić wszystko i powrócić do ojczyzny. To też w prasie duńskiej rozległ się krzyk zgrozy na tę niecną samowolę, naturalnie bez żadnego skutku.— Ponieważ żadne inne państwo europejskie, oprócz Prus lub Niemiec, nie posługuje się tym systematem „regulowania" przypływu i odpływu ludności obcej, więc nasuwa się szereg zagadnień ogólniejszej natury. Chociaż nie zastrzeżonym wyraźnie, to wynikającym logicznie z natury stosunków międzynarodowych świata cywilizowanego jest zasadniczy ich warunek, że poddani różnych państw podczas pokoju mogą wzajemnie korzystać z prawa gościnności, o ile nie obrażają swymi czynami obowiązujących ustaw. Bez takiego prawa niemożliwe byłyby stosunki naukowe, artystyczne, przemysłowe, handlowe, wogóle cywilizacyjne współżycie narodów. Rząd pruski bardzo dobrze to rozumie, wie, że gdyby się opasał chińskim murem, zniszczyłby przedewszystkiem własne społeczeństwo. Ale on zasadę wolnego pobytu obcych poddanych ograniczył w praktyce warunkiem, urągającym wszelkiej sprawiedliwości, mianowicie, z chwilą gdy oni przestają być potrzebni, mówi do nich: wynoście się, bo jesteście *lastig.* Jest to zupełnie ten sam, tylko inaczej ochrzczony środek, do jakiego Prusy uciekają się dla zatamowania przypływu z zewnątrz żywego towaru na rzeź: gdy spotrzegą niedostatek u siebie bydła, świń lub gęsi, otwierają dla nich granicę wschodnią; gdy mają dosyć, nagle wszystkie woły, wieprze i gęsi w państwie rosyjskiem są ogłoszone za chore i wstęp im wzbroniony. Tu karbunkuł, choroba racic i języka lub róża, tam *lastig werden.*

Zbytecznem byłoby dowodzić, jakie szkody ekonomiczne wyrządza ta samowola, ta szacherka międzynarodowa; byłoby również zbytecznem wykazywać, że tylko odwet zdoła ją okiełznać. Może żaden inny naród tak nie rozlazł się po Europie i nie wyzyskuje prawa gościnności za granicą, jak Niemcy. Nie pragnęlibyśmy wcale, ażeby ich skądkolwiek wypędzano, gdzie spokojnie pracują z szacunkiem dla ludności, która ich przyjęła. Ale jeżeli każdy cudzoziemiec, który śród nich się osiedli, ma być ścigany i wyganiany jak wilk, to wszystkie państwa powinny względem nich zastosować tę samą zasadę w obronie własnych poddanych. Gdyby pewnego dnia Niemcy stali się w innych państwach *lastig* i gdyby ich również zaczęto wyrzucać, zobaczylibyśmy, że cudzoziemcy w Prusiech natychmiast nie byliby *lastig* i korzystaliby z bezpieczeństwa, przyznanego im w całej Europie. Już wielki czas tym odwetem położyć koniec bezwzględnemu egoizmowi, który tak lekceważy wszelkie obowiązki międzynarodowe i obce uczynić świat polem swego wyzysku.

Brandes we Lwowie.

Galicya przyjęła u siebie znakomitego krytyka duńskiego z tą przesadą w hołdzie, która u niej jest stałą pobopnością do urządzania manifestacyj. Witano gościa na dworcu, wygłaszano do niego uroczyste mowy, kazano mu w rozmowie kreślić obraz całej naszej kultury itd. Ale mniejsza o tę paradę, która zresztą ma znaczenie wyłącznie miejscowe. Chcemy tu tylko sprostować jeden z bezzasadnych frazesów, którymi Brandes zbyt nieoględnie rzuca, dotyczący nas. W pogadance ze współpracownikiem pewnego dziennika lwowskiego miał on powiedzieć:

— „*Główne prądy* tłomaczył jakiś student, któremu pracę tę polecił Świętochowski, redaktor *Prawdy.* Uczynił to pospiesznie na zamówienie dziennikarskie i sądząc z tego, co mi mówili moi przyjaciele, wiele rzeczy poopuszczał, nawet kilka *pointów*, na których zależało mi bardzo." Nie w tym jednym wypadku owi „przyjaciele" wyświadczyli Brandesowi niedźwiedzią przysługę, której on, nie znając naszego języka, nawet ocenić nie może. Co zaś do owej klasycznej informacyi w „przyjacielskim" stylu, to zawiera się w niej tyle prawdy:

1) *Główne prądy* tłomaczył nie żaden student, ale znany pisarz Feliks Jezierski, który uczył i wychowywał studentów.

2) Nie dokonał przekładu „pospiesznie," bo pracował nad nim trzy lata, w ciągu których książkę wydaliśmy.

3) Tłomacz niczego w niej nie „opuścił."

Czy wobec tego nie należałoby zmienić „przyjaciół," a przynajmniej ostrożniej puszczać w świat ich banialuki?

Napad konkursowy.

Nasze konkursy, zwłaszcza dramatyczne, są zawsze tłem dla obrazków skandalicznych. Mają one bowiem szczególną własność wywabiania z kryjówek duszy złych instynktów, drażnienia zawiści, napuszczania piór tą pianą, która tak często pojawia się na ustach naszej „krytyki." Tę sposobność chwytają skwapliwie wszystkie stłumione ambicye, wszystkie niezadowolone pretensye, wszystkie gorzkie żale gniewu lub nieudolności, ażeby pomścić się za swe długoletnie cierpienia w lisich jamach Parnasu, zamiast rozkoszy na jego szczycie. Tak bywa u nas zawsze. A gdy komisya konkursowa *Kuryera Warszawskiego* uwarunkowała swój wyrok kilkakrotnem przedstawieniem wybranych utworów na scenie, gdy więc można zapomocą sprawozdań teatralnych oddziałać na jej opinię i podciąć liny windy, którą zaczęto kogoś wciągać do góry, a wreszcie gdy papier kopert, kryjących nazwiska autorów, stał się przezroczystym — wypadek u nas bardzo zwykły — urządzono w prasie prawdziwie „nożowniczy" napad na winowajcę, który śmiał napisać dramat i sprawić, że komisya zaleciła go do odegrania i prawdopodobnie do nagrody. „Familia to święta rzecz" — powtarza bohater tej sztuki, więc też familia dziennikarska złożyła sąd na zbrodniarza i postanowiła go spalić.

Zamieszczamy dziś sprawozdanie z pierwszego utworu konkursowego, określając jego wartość sceniczną. Według nas jest to praca niepospolita i ożywia nasz teatr świeżem tchnieniem. Będzie ona miała niewątpliwe powodzenie, nietylko dzięki swej istocie, ale także dzięki wrzaskom, które wzbudziła i które u nas zawsze są dowodem pojawienia się talentu. Więc nie chodzi nam tu o jej losy. Pragniemy tylko podkreślić nowy objaw ohydnego zwyczaju w naszej prasie. Jeżeli zważymy znaczenie, jakie dla naszego społeczeństwa posiada rodzima literatura i sztuka, jeżeli uprzytomnimy sobie, jakim to radosnym wypadkiem powinien być dla nas każdy nowy utwór, który świadczy

o żywotności duchowej i wzbogaca skarbiec kultury narodu, to zdawałoby się, że do oceny takiego faktu przystąpimy z miłością i weselem, chociażbyśmy nawet dostrzegli w nim pewne braki. Tymczasem my zwykle—a przy konkursach zawsze—witamy go nienawiścią i zaciekłą złością. Na widok nowej pracy talentu nie rozszerza się nam serce zadowoleniem, ale wątroba zgryzotą. Nie tworzy on nam święta, ale dzień smutku. Biedny autor, który chciał tylko według sił złożyć najcenniejszą ofiarę na ołtarzu swego piśmiennictwa, wygląda jak świętokradzca, który chciał go obrabować. Jakie to niskie, niegodziwe, a nadewszystko głupie.

W sądzie konkursowym *Kuryera Warszawskiego* uczestniczyło kilkunastu znawców, a nie piaskarzów zebranych z Powiśla; jeżeli więc ci ludzie uznali pewne utwory za dobre, godne uwagi publicznej i odznaczenia, to przecież ich wyrok daje rękojmię jakiejś wartości tych prac. Przecież chyba z tych głów, posiadających wiedzę i miarę literacką, nie uleciał nagle wszelki krytycyzm i nie pozostawił idyotyzmu? Więc skądże ta olbrzymia różnica między ich zdaniem a zdaniem sprawozdawców, mianujących przedstawioną sztukę mizernym melodramatem? Skąd? Stąd, że nasz dziennikarski zaścianek ryją ciągle małe i krótkowzroczne egoizmy, które nie mogą sięgnąć okiem i myślą po za ciasny widnokrąg swych maleńkich interesików. Byłoby to bardzo śmieszne, gdyby dla naszego życia narodowego nie było bardzo szkodliwe.

Syndykat mleczarski.

I my także!... Dlaczego nie? Jeśli cukrownicy, piekarze, rzeźnicy, handlarze srebra, miedzi, nafty itd. zawierają syndykaty dla podniesienia cen towarów, czemużby tego nie mieli uczynić mleczarze! Oni nawet postąpili rzetelniej od innych, bo ogłosili publicznie o swej zmowie. Czy podwyżka kopiejki na butelce jest usprawiedliwioną, czy też stanowi zorganizowany wyzysk, nie wiemy, bo nie sprawdzaliśmy jej w księgach rachunkowych spółki syndykatu. Ale co wiemy na pewno, to że cena mleka *w handlu* ciągle rośnie, a w *produkcyi* spada. Spożywca płaci coraz drożej, kupiec pobiera coraz więcej, a wytwórca dostaje coraz mniej. Nietylko w miejscach oddalonych od wielkich miast, ale nawet pod samą Warszawą niepodobna osiągnąć więcej, niż 11 kop. za garniec mleka latem, a 16 zimą. Tymczasem Warszawa płaci 48 kop. za garniec, który przybywa od niej z odległości kilku lub kilkunastu wiorst. Znowu więc występuje ten dotkliwy haracz, jaki narasta dzięki pośrednictwu między producentem a konsumentem. Potwornie rozrosłe pośrednictwo jest owym rakiem, który toczy nasze stosunki ekonomiczne we wszystkich dziedzinach, który podnosi skalę kosztów życia i obciąża jego warunki pasorzytniczymi zyskami. Warszawa zużytkowywa olbrzymią ilość mleka i zużytkowałaby jeszcze większą, gdyby uboższe jej klasy mogły zbliżyć się do wytwórców. A doprawdy wobec tak ogromnej gałęzi przemysłu, zaspakajającej codzienne potrzeby, warto pomyśleć nad sposobami uprzystępnienia jej ogółowi.

Jubileusz Hofmanowej.

Dnia 23 listopada upłynęło sto lat od narodzenia Klementyny z Tańskich Hofmanowej. Rocznicę tę pisma nasze uczciły wspomnieniem zasług głośnej wydawczyni „Rozrywek,“ autorki „Dziennika Franciszki Krasińskiej,“ „Listów Elżbiety Rzeczyckiej,“ „Karoliny,“ „Krystyny,“ „Wiązania Helenki“ i wielu innych pism, poświęconych uszlachetnieniu uczuć młodzieży, zwłaszcza niewieściej. Poglądy Hofmanowej straciły dziś dawny urok i wartość, utwory jej nie są obecnie tak czytane, jak dawniej, gdyż nowe potrzeby, cele i zasady życia nadały dążeniom pedagogicznym inny kierunek; ale pozostała po niej szacowna pamiątka usiłowań nadania charakterom niepokalanej czystości, umocnienia ich tymi pierwiastkami cnoty, które nigdy nie starzeją się. Zresztą dla zasługi człowieka dość, gdy on uczciwie i pożytecznie odprawi swą służbę względem epoki, w której żyje i działa, nie sięgnąwszy wcale w odległą przyszłość. A Hofmanowa to uczyniła.

Zagrożeni.

Chwila obecna jest bardzo ważna dla dość licznej rzeszy ludzi, oddających swoją ciężką i nieustanną pracę za twardy kawałek chleba. Zmiana gospodarki tramwajowej decyduje o losach służby tego przedsiębiorstwa. Zwykle bowiem w takich razach znaczna część ludzi traci zajęcie, pewien procent pozostaje na gorszych warunkach, a stosunkowo nieliczna garstka korzysta z lepszej lub przynajmniej takiej samej doli. Jak wiadomo, służba tramwajowa pełniła i pełni do tychczas ciężkie roboty, ma tylko dwa dni do roku zupełnego wypoczynku, a o swoje aż nazbyt skromne zarobki nigdy nie jest pewną, dzięki znamiennemu systemowi kar, które najczęściej spadając niesprawiedliwie lub zanadto surowo za przekroczenia, wynikłe z nadmiaru pracy, uszczuplają pensye. W różnych wielkich przedsiębiorstwach pracownicy mają przynajmniej tę „osłodę,“ że kary pieniężne idą na ich korzyść, tj. zwiększają fundusze kasy. Inaczej rzecz się ma w Towarzystwie belgijskiem tramwajów warszawskich. Przed kilku tygodniami *Wiek* otrzymał dwa listy, których treść jest następująca:

„Od czasu istnienia belgijskiego Towarzystwa tramwajów zarząd ściągał za różne przekroczenia regulaminu kary pieniężne z służby tramwajowej, a z kar tych miał być utworzony fundusz na wspieranie podupadłych pracowników, na koszty p. grzebów itp. Aż do 1 października 1897 r. sumy zgromadzone, stanowiące kapitał poważny, były pod kontrolą dyrekcyi, lecz o przeznaczeniu ich i obrocie nikt pewnych informacyj zasięgnąć nie umiał. Dopiero w powyżej wymienionym terminie „kasa karna“ przeszła przy sposobności pewnych zatargów służby tramwajowej z zarządem w ręce i pod dozór samych pracowników, którzy też natychmiast zamienili ją na fundusz, służący pierwotnie określonemu celowi.

Cóż jednak stało się z pieniędzmi zgromadzonemi przez zarząd Towarzystwa aż do 1 października 1897 r.? Korespondenci domagają się stanowczo, aby magistrat miasta Warszawy zażądał ksiąg karnych ze wszystkich lat i ze wszystkich remiz i w razie potrzeby wystąpił sądownie przeciw dyrekcyi o zwrot funduszów, które w ciągu lat kilkunastu zgromadziły się z kar pieniężnych, ściąganych z pracowników tramwajowych.“

Wiek poruszył tę kwestyę, jak zaznacza, „w celu wywołania dyskusyi i wyjaśnień, których niewątpliwie udzieli zarząd bogatego Towarzystwa.“ Zarząd jednak, wbrew oczekiwaniom i grzecznym napomknieniom pisma powyższego, zbył to skromne żądanie pogardliwem milczeniem. Przedsiębiorcy zatem wytrwale do końca zachowali swój system, cechujący długoletnią ich gospodarkę: lekceważenie tego społeczeństwa, z którego wyssali tak obfite dochody. Otóż warto, ażeby zarząd miasta, kończąc z nimi rachunki, zażądał stanowczo zdania sprawy z tego funduszu, który powstał z kieszeni pracowników-nędzarzy. Przedsiębiorcy powinni go zwrócić ze znacznym procentem. Wogóle zarząd miasta powinien wymódz na Belgijczykach, ażeby w jakikolwiek sposób zabezpieczyli istnienie tej rzeszy, przez wiele lat wyzyskiwanej. Dobrze byłoby również zniewolić dzierżawcę do pewnych zobowiązań względem losu dotychczasowych pracowników przedsiębiorstwa tramwajowego.



OBECNY STAN BADAŃ nad historyą chłopów w dawnej Polsce.

II.

„Metoda wsteczna,“ wprowadzona do historyi polskiej przez prof. Wojciechowskiego, okazała się najkorzystniejszą dla zbadania przeszłości chłopów; opiera się też na niej we wszystkich swoich pracach prof. Piekosiński, a mianowicie na wnioskach swego poprzednika w nauce, wysnutych z nazw dzisiejszych miejscowości na ziemiach, wchodzących w skład b. państwa Piastów. Tą samą drogą idzie także prof. Balzer, ale w wielu razach odmienne wyraża poglądy.

Zgodnie stwierdzają wszyscy ci historycy, że pierwsi osadnicy słowiańscy w dorzeczu Wisły zajęli kraj, przedstawiający się jakoby wielka puszcza leśista; tam bowiem obok ziemi, przydatnej pod uprawę, znajdowali osiedleńcy naturalne gościńce wodne i ryby, a pobliski las dostarczał wielkiej masy dziczyzny, tudzież pastwisk dla licznych trzód bydła. O chłopach mówić wówczas nie można, bo ustrój rodowy nierówności społecznych nie zna, ale możliwom jest, że—jak to podnosi w swej najnowszej pracy Witort („Zarys prawa pierwotnego,“ Warszawa, 1899)—patryarchowie rodów słowiańskich nazywali się wogóle „kmieciami,“ tj. używali nazwy, która już w Gallusie oznacza tylko chłopów w odróżnieniu od szlachty. Nazwy plemienne Słowian, którzy weszli później w skład państwa Piastów, są nam dokładnie znane ze źródeł historycznych. Są to: Wiślanie (w Małopolsce), Ślężanie, Pomorzanie, Mazowszanie, Kujawianie, Łęczycanie (może to samo, co Lęchici), Sieradzianie i wreszcie Polanie, którzy podobnie jak „Czesi“ w Czechach, narzucili swą hegemonię innym plemionom i w ten sposób zapoczątkowali tworzenie się „państwa“ polskiego. Nazwy rodów poszczególnych łączą się wówczas z nazwami herbów i odpowiadają nazwom totemicznym, branym ogólnie u ludów nieucywilizowanych z przyrody, głównie ze świata zwierzęcego, np. bies, brzoza, kościech, nagod, okuń, orz (orzeł), stary koń itp. Niektóre z tych nazw powtarzają się równocześnie w nazwach wsi, np. Białokozy, Koziegłowy itp., taki sam genetyczny początek wskazują nazwy osad: Sobki, Ćwiki, Czajki itd. Piekosiński nie zauważył tej etnologicznej analogii, Balzer zaś tylko o tyle, że stwierdził, iż niektóre nazwy osad chłopskich przeszły także na rody szlacheckie, inne zaś nie. W „Przyczynkach krytycznych“ do pracy Balzera zaznaczyłem, że to pochodzenie nazw jest z jednej strony znakomitym dowodem przeciw teoryi najazdu, powtóre wskazuje totemiczny początek nazw herbowych i wreszcie pozwala nam odszukać w tego rodzaju nazwach miejscowych najstarsze nazwy rodowodu polskich „kmieci.“ To moje domniemanie utrzymuję i dzisiaj w całej pełni z dodatkiem, że osady o wspomnianych nazwach totemicznych należy—stosownie zresztą do analogij etnologicznych — uważać za najstarsze miejscowości, z których rozeszło

się dalsze osadnictwo kmiece. Wiadomo, że rody rozrodzone wysyłają kolonie do sąsiednich okolic i że tacy koloniści przyjmują zwykle nazwy t. zw. patronimiczne, znane dotąd na Rusi i urobione z indywidualnej nazwy, względnie przydomku przodków męzkich. Tam nazwy takie powstają przez dodanie końcówki *wicz*, w Polsce powstawały z końcówką *ice* (*yce*). Taką jest geneza nazw wsi: Dalechowice (od Dalecha), Domasławice (od Domasława), Bolesławice (od Bolesława), Kwiatkowice (od Kwiatka) itp. Pod tym względem panuje od chwili ukazania się „Chrobacyi" Wojciechowskiego ogólna zgoda wśród historyków, a że Małecki odnalazł także pozytywne dowody w „Księdze Henrykowskiej," więc teorya ta, wykryta metodą wsteczną i poparta później źródłowo, może być dzisiaj uważaną śmiało za pewnik historyczny. Po odliczeniu wyjaśnionych już nazw totemicznych i patronimicznych wsi, tudzież takich, jak np. Węgry, Czechy, Melsztyn itp., które są wyraźnie pochodzenia obcego, znajdujemy dzisiaj i w źródłach historycznych jeszcze tylko osady o nazwach na *ów, owa, owo, in* (*yn*), *ina* (*yna*), np. Szymonów, Prędocin itp., tudzież nazwy „narokowo," np. Strzelce, Bobrowniki, Rudniki, Złotniki, Komary, Piekary itp. Co do pierwszej kategoryi, to Balzer wykazał, że wsie te miały pierwotnie nazwy inne, przeważnie patronimiczne i zmieniły je dopiero znacznie później, kiedy przeszły w posiadanie rodów szlacheckich, podczas gdy wsie w dobrach książęcych i kościelnych zatrzymały zwykle imiona pierwotne. Wskutek tego nazwy na *ów, owa, owo, in, ina* — można uznać za własnościowe, szlacheckie i początek ich odnieść najdalej wstecz, do samego końca XI w.

Nazwy „narokowo" są podobnie, jak patrominiczne, wyjaśnione zgodnie przez historyków. Łączą się one z pierwotną organizacyą grodową, której początek tkwi prawdopodobnie jeszcze w epoce rodowo-plemiennej, a ostatni etap przezwojowy, tj. starostwa grodowe, przetrwały aż do r. 1795 — obok tytułów kasztelańskich. W epoce rodowej są warownie zwano u Słowian wszędzie „grodami," schroniskami dla okolicznych osad w czasie wojny i zarazem obwarowanymi śpichrzami, miejscami gromadzenia skarbu i wreszcie siedliskami kultu plemiennego. Być może, że już wówczas część wolnych rodowców pełniła kolejno służbę grodową, np. strzelcy dozorowali łowów na rzecz grodów, bobrownicy — polowania na bobry, inni np. koniarze — pełnili służbę przy stajniach, a wreszcie piekarze piekli chleb, tudzież rękodzielnicy, np. bednarze (łagiewnicy), szczytnicy (oszczepnicy), kowale itp. wyrabiali „narokowo," tj. kolejno, przedmioty potrzebne dla załogi grodowej. Dowiedzionym faktem jest, że taka organizacya służby grodowej istniała w Polsce piastowskiej, chociaż od końca XIII w. stała się już przeżytkiem społecznym, bo też wówczas grody zmieniały swoje dawne znaczenie, władza kasztelanów podupadła, a gród ze starostą na czele był siedzibą sądów grodzkich i reprezentantem władzy centralnej wobec wzrastającej autonomii ziemskiej. Chłopi „narokowi," osiedleni po wsiach o nazwach „narokowych," stanowią w średniowieczu osobną kategoryę ludności wieśniaczej; ale w miarę, jak stara organizacya grodowa przetwarza się, pozostają tylko narokowe nazwy osad, a narokowcy przechodzą stopniowo w szeregi chłopów zwykłych, tj. „przypisańców." „Przypisańcy" stanowią od chwili upaństwowienia plemion polskich największą masę ludności chłopskiej i masa ta zwiększa się stopniowo przez wciąganie chłopów niewolniczych i narokowych. W okresie władania całą ziemią przez ród książęcy, rozwija się zależność „przypisańców" od grodu. Są oni własnością księcia i jako tacy podlegają alienacyi osobistej na rzecz kleru i szlachty, sami utrzymują się z rolnictwa i chowu bydła, myśliwstwa i rybołówstwa, ale część swego dochodu gospodarczego oddają do grodu na utrzymanie załogi szlacheckiej, panów grodnych i dworu książęcego. Daniny te są rozmaite: prof. Piekosiński łączy je w kilka zasadniczych kategoryj, jak: stróża, tj. pierwotnie może straż grodowa, a od czasów Chrobrego danina w bydlętach, później zaś głównie w zbożu, wybierana przez kasztelanów przy pomocy osobnych poborów. „Poradlne" nazywało się rozmaicie, stosownie do charakteru, np. powołowe (danina z wołów), krowne, wieprzowe, gąsiorowe, albo w bieżącej monecie, jako łanowe, zredukowane przywilejem koszyckim króla Ludwika do 2 groszy od łanu w dobrach szlachty i kleru. Uciążliwa danina „stan" oznaczała obowiązek żywienia dworu książęcego w czasie objazdów sądowych, łowów itp. Do niej wliczano także „pieczowanie," tj. dostarczanie noclegu i paszy dla koni orszaku książęcego. Nadto istniał „stan" dla „gości," tj. dla kupców cudzoziemskich, sprowadzanych przez księcia do kraju. Jeszcze uciążliwszy „stan" wojskowy polegał na żywieniu przeciągającego wojska. Mniej ważne daniny były „naraz" i „obrzaz," tudzież cały szereg posług dla osoby księcia, jak np. utrzymywanie gniazd sokolich lub żywienie psów. Z biegiem czasu dodano obowiązek „kollekt," tj. składania danin czasowych, nadzwyczajnych, nieraz bardzo wysokich. Dalej istniał cały szereg posług *publicznych*, jak: służba wojskowa w roli ciurów, budowa i naprawianie dróg i mostów, dostarczanie podwód i inne pomniejsze. Piekosiński słusznie podnosi, że cała masa obowiązków chłopskich - grodowych mogła zniszczyć dobrobyt najlepiej zagospodarowanej wsi, a w razie wojny dopełniał miary nieszczęść przechód wojsk rycerskich. „Każdy — mówi ten autor — obowiązany do służby wojennej szlachcic winien służyć o własnym chlebie, po drodze więc obdzierał włościan, aby siebie i konia swego wyżywić. Którędy więc przeszła wyprawa, tam zapanowały nędza i zniszczenie." Prawo polskie w zastosowaniu do chłopów nazywa się w źródłach średniowiecznych krótko, ale charakterystycznie: „ciężarem prawa polskiego." „Ciężary" te złączone były z jurysdykcyą książęcą, a później kasztelańską nad chłopem, są jednak ślady istnienia najniższej jurysdykcyi miejscowej - gminnej, wykonywanej przez wybieralnych (za zgodą zapewne kasztelana) naczelników. Istnieli także po wsiach w celu nadzoru „ciężarów" grodowych — dziesiętnicy i setnicy, wogóle jednak wewnętrzna organizacya gminy, podlegającej prawu polskiemu, nie jest dotychczas zbadaną, a to głównie dla braku wiadomości źródłowych. Przypuszczam, że w organizacyi tej odgrywały znaczną rolę wiece gminne i inne przeżytki epoki rodowej. Prawo alienowania chłopów wszystkich, oprócz resztek ludności wolnej, przez książąt, stało się podstawą nadań dóbr ziemskich wraz z „przypisańcami" i nawet „narocznikami" dla kleru i szlachty. Nadania te są złączone zawsze z częściowem „uwolnieniem kmieci od ciężarów prawa polskiego" — początkowo niewielkiem, a później coraz obszerniejszem, wyjątkowo zaś nawet—zupełnem. O ile jednak chłop w dobrach prywatnych wyzbywał się obowiązków grodowych, o tyle nabywał ich równocześnie wobec obdarowanego przez księcia właściciela wsi, tj. z „przypisańca" lub „narocznika" książęcego stawał się „poddanym" biskupa, klasztoru, księdza lub szlachcica. Zmiana „ciężarów" była zazwyczaj dla ludności wieśniaczej niekorzystną. Przedewszystkiem zatracał się bezpośredni, acz ciężki stosunek chłopa z grodami i rządem książęcym, a natomiast rozwijała się zależność patrymonialna od „panów" prywatnych, którzy ze względów gospodarczych starali się o ścislejsze wypełnianie „ciężarów," aniżeli „panowie" grodowi i łatwiej zresztą starać się o to mogli. Powtóre „ciężary" poczęły wzrastać, mianowicie dołączył się do nich obowiązek robocizny na łanach pańskich; wreszcie przez przechodzenie na właścicieli dóbr ziemskich jurysdykcyi rodowej zaczęła rozwijać się, jak słusznie nazywa prof. Ulanowski, „terytoryalna władza dworu prywatnego nad wsią," owa podstawa społeczno-prawna rozbujałej w nowych wiekach autonomii sejmikowej, przedstawionej w dziele Pawińskiego. Chłop polski stał się społeczną podstawą tworzącego się, acz nigdy prawie niewykończonego feudalizmu w Polsce piastowskiej, do którego dołącza się powoli od drugiej połowy XII w. nowotwór społeczny napływowy z Zachodu, tj. *osadnictwo na prawie niemieckiem*, nader ważne dla dalszej ewolucyi stosunków chłopskich i ważniejsze jeszcze dla powstania i rozwoju miast polskich.

(C. d. n.).

Dr. Kazimierz J. Gorzycki.

LITERATURA I SZTUKA.

ANTONI LANGE.

III.

Przegląd zagadnień i przedmiotów, poruszonych w „Godzinie," przekonał nas, że Lange uległ w wysokim stopniu oddziaływaniu literatury zachodniej, zwłaszcza francuskiej; przez te szkła ogląda najczęściej rzeczywistość. Stąd zaczerpnął upodobanie swe w egzotyczności, swe niezliczone „księgi proroków," „sonety wedyckie," legendy z wysp Tonga, z Gwatemali i Bóg wie skąd, które wypełniają znaczną część tomu drugiego. Wśród poetów Zachodu upodobał sobie, zgodnie z zasadniczą dążnością swego umysłu i swojej wyobraźni zwłaszcza symbolistów, którzy według jego określenia „zapowiadają" na przyszłość w literaturze *kierunek czynny*, „któryby z chaosu, żywiołów, zjawisk i postaci wyprowadzić umiał syntezę i *któryby odrzucił z nich to*, co jest *przypadkowe*, a odnalazł, co jest wieczne i racyonalne."

Blizkie pokrewieństwo między umysłem pieśniarza naszego a umysłami, które stworzyły wskazany tu kierunek poezyi, zrozumiałą rzeczą czyni poddanie się obcym wpływom, zarówno w istotnych znamionach twórczości, jak w wyborze przedmiotów pieśni, jak w innych mniej lub więcej doniosłych szczegółach, a jednym z najdonioślejszych jest świadomy stosunek do swej sztuki, wielkie panowanie nad formą. Oczywiście mamy tu do czynienia jeno ze spotęgowaniem dążności wrodzonej, która ma swe źródło w refleksyjnem i retorycznem usposobieniu autora, w uczuciu łagodnem, zrównoważonem. Wierzymy mu, iż mozolne „stawanie się" pieśni, wytrwałe poszukiwanie „słowa," czyli ideału, połączone jest z pewnem utrudzeniem ducha, z niezadowoleniem umysłu poznającego, który różnorodnych pierwiastków nie może ułożyć w spójny system: „Wij się, me serce! Nie wejdziesz na szczyty, jak ci, co mieli rączy lot sokoli..." Wątpliwość bolesna

zapewne, lecz niesprawiająca cierpienia o tyle dotkliwego, aby ono uniemożliwiło staranie o takie rozdźwięki końcowe, jak: „Z powolnych cyter — układasz swój *koran*, a każde czucie i każde natchnienie pochłania wieczny zwątpienia *kormoran* itd.“ Tu z pewnością, jak w tysiącu innych wypadków, nie obraz pociąga rymy za sobą, lecz rzecz się ma raczej odwrotnie. Umie zresztą Lange być prostym — świadomą, umyślną prostotą; na dowód możnaby przytoczyć jego sielanki: *Plein air.* W pospolitej zwrotce czterowierszowej co krok spotykamy rymy, jak: przejrzyste, srebrzyste, odbite, obfite, zieloność, nieskończoność.. Prostota dotyczy również dykcyi, wyboru obrazów, przenośni. Z łatwością jednak wykryjemy tu dowody wielkiej kunsztowności, wewnętrznego rzeźbiarstwa. We wzmiankowanym utworze pieśniarz roztoczył przed nami całą skalę dostępnych mu uczuć i wrażeń, których wmawiać w siebie nie miał potrzeby. Sztuczność więc nie dotyczy samej istoty doznanych stanów duchowych, lecz ich następstwa i przekształceń. Zważmy, w jak mistrzowski sposób ułożone i ustopniowane zostały owe wrażenia dla wywołania ogólnego efektu! Jak umiejętnie dobrany punkt spostrzegania w czasie i przestrzeni, żeby przed okiem naszem przesunęły się kolejno różnorodne zjawiska przyrody wraz z podmiotowymi ich odruchami w duszy widza... „Ja na łożu traw zielonem, w pół marzeniu, w pół uśpieniu, pod szerokim, starym klonem, leżę, krążę, szukam cieniu... Słoneczniki drwiącem okiem patrzą na me wynalazki.“ Więc odczuwamy skwar gorącego dnia; nieznośny blask słoneczny łagodzi morze zieloności. Słuchamy szmerów murawy, śpiew pasikonika wprawia nas w lekkie rozmarzenie, ogarnia nas nieruchoma cisza godziny południowej.. Wzrok spoczywa na amfiteatrze zieleni z gamą barw i stopniowaniem wysokości. Oto za najwyższe konary ukrywa się słońce, na krajobraz pada cień, drzewa się odezwą zmieszaną swą symfonią. Rozmarzenie zamienia się na smutne przeczucie końca tego bujnego rozkwitu przyrody. Skądże to przeczucie? Jesień daleka, słońce przed chwilą tak gorące żary na ziemię słało?.. Tak, ale bociany już wprawiają swe dzieci do lotu, ale przez rozchylone na stronie drzewa widać niwy już ogołocone... No, a obecność słoneczników na wstępie, co za słońcem „krągłem licem gorejącem bezustannie zwolna krążą“? I wszystko zapada w cień łagodnej melancholii. Taką jest prostota Endymiona, kiedy pragnie zbliżyć się do Artemidy.

Zazwyczaj wszakże dbałość o formę występuje w sposób jawny. Na każdej niemal stronie znajdujemy u poety takie rytmy, jak ów: „Dwiema płynie drogami...“; takie rymy, jak w wierszu o rymach prostych, w których zda się na ostateczną rozpacz współczesnych poetów wyczerpał wszystki gongi, fandangi, hidrangi i wogóle różne abrakadabry; spotykamy tu co niemiara kształtów poetyckich, jak: rifioryty, stornello, ronda, pantumy, sekstyny itd. Egzotyczność rymu i egzotyczność układów zwrotkowych, podzielana z Miriamem, ojcem tego u nas prądu, jest tak znamienną z zewnętrznej strony właściwością Langego, jak dla Tetmajera jego rozwieje, osmętnice, bezkresy itp..(Możemy w nawiasie tu zaznaczyć, że młodsi poeci francuscy pragnęli by właśnie wyrzucić z języka wszystkie obce naleciałości, ze ubolewają nad tą okolicznością, iż język prawdziwie francuski stał się już niezrozumiałym dla ucha, obytego z nieznośną gwarą dzienników i ulicy. I dla odświeżenia swej mowy sięgają do zasypanych już niemal źródeł języka rodzinnego.. lecz tylko rodzinnego).

Nie chciałbym pozostawić czytelnika w mniemaniu, że cała wykwintność Langego w większości wypadków polega na upstrzeniu swego stylu „abrakadabrami.“ Nie zamykam oczu ani na wytworną dykcyę, ani na umiejętne zharmonizowanie treści i formy, co jest rzeczą najważniejszą. Ku temu ostatniemu celowi zabraknie często autorowi środków plastycznych i kolorystycznych; jego opisy będą nieraz suchem wyliczeniem szczegółów. „Jesion jasno malowany, jarzębiny i kaliny, i akacye i kasztany“ itd. Poeta często i przeważnie operować będzie pierwiastkami słuchowymi, do tej kategoryi przecie należą i rymy, i rytmy, i zwrotki; do tej kategoryi niekiedy nawet amplifikacye, które monotonią powtarzania tej samej myśli sprawiają swoiste wrażenie i posiadają pewną siłę poddawczą. „Żadna gwiazda nie lśni złota, żaden promień nie migota, nie drga żaden dech żywota, byt przemian znikła moc... Gdzie są wyspy, lądy, morza? Szczyty górskie, rzeczne łoża? Gdzie są *bory*, gdzie *potwory*, które żyły wśród ich puszcz? Gdzie świetlane duchów wzroki, gdzie są mędrce a proroki, gdzie synajski szczyt wysoki, gdzie ognisty Boga kuszcz?“ Jednostajność zadźwięków także nie jest sztuczką rymotwórczą, lecz obmyślanym szczegółom, współdziałającym z innymi czynnikami, które wywołują fizyczne niemal złudzenie ustawania ruchów wszechświata z *grozą* tego martwego, bezświetlnego spokoju. „Jeszcze mgnienie tysiącletnie, równowaga ruchy przetnie; lodowate, bezskrzydłate płyną cienie próżnych skrzyń... Świat — jak martwych ciał kopalnia, ruch się zwalnia, zwalnia, zwalnia. Równowaga — byt przemaga, staje—staje.. ustał ruch“ („Polingeneza“). Pozwolę sobie jeszcze przytoczyć parę zwrotek z „Preludyum,“ które można uważać za wzór umiejętnej instrumentacyi, osiągającej efekt przeważnie, acz nie wyłącznie muzykalny. „Raz dziewczęta poszły w las, poszły w las zielony. Młodej wiosny był to czas, szumiał, śpiewał, pachniał las, w zieleń umajony... Szły dziewczęta w sukniach pstrych, w sukniach malowanych, I był chychot — i był śmiech — W krasnych chustach, w sukniach pstrych, złotem haftowanych“ itd. Ale niepodobna mi przepisywać ustępów całych z *Plein air*, z „Holendra latającego,“ „Burzy“ itd.

Tak się splatają w działalności twórczej Langego odruchy naśladowcze z samorzutnemi dążnościami jego istoty duchowej. Czy różnorodne pierwiastki stopią się kiedy w doskonalszą, niż dotychczas całość? Czy poeta znajdzie swe „słowo,“ nie w znaczeniu rozwiązania zagadki bytu, lecz jako symbol opanowania wszystkich sił twórczych jakiemś uczuciem głębokiem, choć nie gwałtownem w swych skutkach, jakąś prawdą żywotną, ktora starczyłaby mu za wszystkie inne i w ten sposób nietylko spotęgowała jego moce duchowe, lecz i usunęła z jego umysłu ten rozczyn niepokoju, to poczucie dysharmonii, która może przeskakiwać od przedmiotu do przedmiotu i sprawia, iż utwory Langego wciąż są jeszcze *dissecta membra*? W dotychczasowej jego twórczości dostrzeżemy wiele oznak, które można uważać za pomyślną wróżbę.

Mówiąc o symbolistach, wyraził on zdanie, iż „zanadto są artystami i pogrążeni w szczegółach swej sztuki, zaniedbują wiedzę społeczną.“ Że zdanie to nie jest tylko przeświadczeniem teoretyka, lecz stało się wiarą artysty, na to znajdujemy dowody i w „Venus-żebraczce“ i w „Godzinie“ i „Wyrwidębie i Waligórze.“ Może tylko poeta zbyt łatwo uwierzył, że pewne objawy rozkładu (*Vox posthuma*) mają w sobie kiełki nowego życia, że będąc skutkiem niedomagań społecznych, mogą stać się dźwignią postępu; że wpatrywanie się w siebie („Spowiedź“) może sprowadzić jakieś następstwa uzdrawiające. Ale nie chcę wdawać się w polemikę. Nie te lub owe szczegóły systematu filozoficznego, lecz to szczere a wytrwałe dążenie do jakiegoś systematu; to poszukiwanie „słowa“ dla ideału samego w sobie, lecz nie dla efektu; ta wreszcie okoliczność, że poeta, nie zamykając się w bólach i radościach jednostkowych, myśli zawsze wzorem symbolistów *człowiek*, gdzie mówi *ja*, że pragnąłby połączyć życie z pieśnią, z arfą łuk i tęskni do czasów, kiedy „czynem ognistym był łuk, a zaś arfa do czynu wezwaniem — to wszystko kazało się nam spodziewać, że pieśń wreszcze „się stanie.“

A jednak tom drugi w znacznym stopniu omylił nasze oczekiwania. W analizie twórczości poety niejednokrotnie powoływalismy się na utwory w tym tomie zawarte, lecz „Godzina,“ najdoskonalszy jak dotychczas płód ducha Langego, nie znajduje tu swego odpowiednika. Za taki nie możemy uważać „Latającego Holendra,“ mimo tęsknego kolorytu, posępnej dzikiej jakiejś melodyi, zgodnej ze scenoryą i treścią poematu, mimo symbolicznego jej znaczenia. Artystyczną wartość zbiorku nie zawsze podniesie balast, usunięty z tomu poprzedniego, a do późniejszego wciśnięty. Wogóle, jakkolwiek w ostatniej książce znaleźć można wiele rzeczy prawdziwie pięknych, sprawiają one wrażenie zawodu skutkiem wysokich, obudzonych dawniej wymagań. Kartkę po kartce odwracamy, lecz *dzieła* wciąż nie znajdujemy. Jakże to się stało? Dlaczego na drodze Holendra latającego wciąż wyrastają rafy, których on wyminąć nie umie?

Gdzieś Lange nazwał symbolizm zachodni — algebrą poezyi. Owóż, czy nie zanadto jest pierwiastków algebraicznych w jego własnej twórczości? Mniej tam może abstrakcyj, niż uogólnionych, lecz bądź co bądź konkretnych zjawisk życia, a więcej umówionych znaków, pojęć, które nie są myślą, lecz *formą myśli?* Tu już chodzi nie o brak bezpośredniości wrażeń. Gdy matematyk operuje ilościami urojonemi, gdy wprowadza liczby nadskończone, gdy każe nam się poruszać w świecie wielowymiarowym, jakkolwiek w toku przemian form myśli matematycznej nie dba o materyalny jej wykładnik, w ostatecznym wyniku otrzymuje formuły, które pogłębiać będą naszą wiedzę o przestrzeni trójwymiarowej i liczbach konkretnych. Lecz dla poety droga ta jest niebezpieczną, bo zaprowadzić go może nie do królestwa syntezy, nie do prawdy nadrzeczywistej, lecz do sfery jałowych pojęć logiki formalnej. Odczytuję raz jeszcze „Spowiedź.“ Spotkam tam znowu „zaraźliwe zwątpień szały,“ „cierpień swych świadomość“; „dusza coraz bardziej ranna, samotnością coraz bardziej płaci,“ bo „we dnie i w nocy — w mieście i na polu w serce swe patrzy okiem stróża“ itd. Lecz jakie to są zwątpienia, i jaki ból, i jakie objawy duszy poeta dostrzega (za swe pokolenie), patrząc w swe serce — to musimy dopełniać własną, podmiotową treścią; bo w „Spowiedzi“ nie spowiedź znajdujemy, lecz tylko jej ramy logiczne; nie ilość wymierną, lecz symbol algebraiczny, który nie obejmuje w sobie różnorodnych zjawisk, ale oznacza dowolnie którekolwiek z nich. Widnokręgi z takiego punktu oglądane osnuwają się w białawy opar, w którym Holender błądzi i Senty swej znaleźć nie umie. Czy ją kiedy odszuka?

A. Drogoszewski.



TEATR.

Familia, dramat z konkursu *Kuryera Warszawskiego.*

Autor bardzo dobrze zrobił, że napisał sztukę ludową. U nas, gdzie wobec wytrawnego sądu publiczności arcydzieła nawet na scenie łamią kark („Samotni" Hauptmanna), panuje jakieś pełne poczciwości pobłażanie dla sztuk ludowych. My mamy, wbrew wszelkim pozorom, gusty bardzo demokratyczne i bardzo lubimy chłopów na scenie, zwłaszcza jeżeli sobie zanadto nie wymyślają, są troszeczkę sentymentalni, troszeczkę ucieszni, jeżeli nie piją za dużo, tańczą wesoło i śpiewają ładnie. Z przykrością jednak stwierdzam, że dramat konkursowy „Familia" nie odpowiada tym kardynalnym warunkom powodzenia. Ot sobie zwykła chłopska historya. Skiba, stary wdowiec, za życia jeszcze rozdzielił chudobę swoją pomiędzy brata, syna i córkę. Córkę Katarzynę miłuje nad wszystkich, więc ją znacznie hojniej od reszty familii obdarzył. Swoje dawał, taka była wola jego, miał na to prawo. Czego szukał stary, ogałacając się z mienia dobrowolnie? Czy tego zadowolenia, jakie daje widok wdzięcznych i przywiązanych twarzy, czy tego spokoju i równowagi, jakie daje przeświadczenie, że się już wszystko w życiu zrobiło? Córka nawet mu kąta w chacie nie użyczyła — musiał się stary wynieść gdzieś do zniszczonej chałupy pod cmentarz. Miłość Skiby dla córki ladacznicy, spotęgowana przez naiwnie święte wspomnienie jej matki, z drugiej strony niewdzięczność tej córki, zmuszającej ojca do ciężkiej roboty w zamian za kęs strawy — byłyby w swoim ponurym kontraście wystarczyły już same przez się na dramatyczną osnowę utworu. Jak temat ten jest żywotny i jak głęboko tą żywotnością swoją wrasta w życie ludu polskiego, niech poświadczy przykład. Niedawno ogłosił Karłowicz drukiem niezmiernie ciekawe studyum o „polskim królu Learze" (*Wisła*). Jest to krytycznie oświetlony zbiór piosnek ludowych o treści, przypominającej bohatera Szekspirowskiego. W bardzo wielu zakątkach Królestwa gadka ta ubrała się w miarową sukienkę. W literaturze temat ten wyzyskiwany był niejednokrotnie: przypomnę tylko przepyszną nowelę Turgieniewa: „Król Lear stepowy."

Ale autorowi „Familii" temat ten nie wystarczył. Do katastrofy kulminacyjnej, do zemsty ojca nad wyrodną córką potrzebna jest jeszcze interwencya całej „familii." To też głównym działaczem w dramacie jest nie stary Skiba, nie Katarzyna, ale zbiorowy bohater: *familia*. Nawet dwóch bohaterów w tem jednem pojęciu: jeden — żywy, z krwi i kości, kręcący się ciągle po scenie, skomlący jak pies, że go pokrzywdzono, jak pies węszący wkoło. Drugi — działa nie tyle na scenie, o ile po nad nią, to oderwane pojęcie „familii," to wytwór moralny środowiska, coś wyższego od prawa pisanego, jakaś *lex suprema* — słowem — *święta rzecz!*

Zatrzymajmy się trochę nad tem pojęciem, bo tu się zogniskować miała obyczajowa wartość dramatu. Pojęcie rodziny jak i każde inne, podlega prawom rozwoju, doskonali się, kształtuje, ze zmianą stosunków społecznych również ulega zmianie; dzisiaj utraciło już nadzwyczaj wiele ze swojej pierwotnej natury, a kiedyś jeszcze wiele utraci ze swojej natury obecnej. Postawmy dzisiejszą, współczesną nam rodzinę europejską obok pierwotnej hordy azyatyckiej, obok rodziny rzymskiej, a nawet średniowiecznej—spostrzeżemy nietylko różnice, ale i poszczególne etapy, pojedyncze szczeble rozwoju tego organizmu, który się zowie rodziną. Idźmy jeszcze dalej: u zwierząt nawet widzimy pewne życie zbiorowe, pewne szeregowanie się w grupy: tu instynkt samozachowawczy podszeptuje wyższość pożycia gromadnego nad jednostkowem, łącznik jest tutaj czysto fizyczny, utylitarny.

W dramacie „Familia" pojęcie rodziny występuje już, jako prawo moralne. To znaczy, że w społeczeństwie, wśród którego akcya się toczy, rodzina jest bardzo wysoką instancyą: ona *ma prawo* wydania wyroku śmierci na Katarzynę. Zachodzi tylko pytanie, czy wśród tego społeczeństwa chłopskiego istnieje coś podobnego w rzeczywistości? Trudno odpowiedzieć na to pytanie twierdząco: wśród chłopstwa rozluźnienie spójni rodzinnej jest jeszcze bardziej spotęgowane, niż wśród społeczeństwa kulturalnego. Obraz więc, jaki autor namalował, do dzisiejszych czasów w każdym razie odnieść trudno. Nie sprzeciwia się on jednak zupełnie naturze chłopskiej: kiedy Skibę opanowywa niepohamowana żądza odwetu i sprawiedliwości, wiedząc, że prawo pisane nie stanie po jego stronie — zwołuje on sąd familii. A ta familia nietylko nie uczuwa żadnych skrupułów wobec prawa, ale stawia się jeszcze wyżej nad nie: Nie trzeba nam sądu innego! *Familia sądzi swoją rzecz, a sąd sądzi nie swoją rzecz.* Przecież to takie jasne i proste! Oto jest prawdziwa logika chłopska! To są słowa bardzo znamienne, bo, jeżeli mogła powstać kiedy śród ludu instytucya sądu familijnego, jeżeli mogła urosnąć do znaczenia *świętej rzeczy*, to tylko wyszedłszy z podobnie *utylitarnego* założenia.

Na takiem tle rozwija się dramat. Autor nie rozdmuchuje w oczach naszych akcyi, ale stawia przed nami odrazu sam jej wrzątek: kipi to przez dwa akty, ażeby w trzecim wybuchnąć w kulminacyjnej scenie morderstwa męża Katarzyny, głupiego Jaśka, przez jej gacha, Kubraka, oraz podpalenia chaty przez Skibę. Chłop, opanowany przez namiętność, jak nie można lepiej, nadaje się na scenę: mało on wtenczas mówi, ale dużo robi. To też w pierwszych trzech aktach dramatu na scenie ciągle się coś dzieje: w pierwszym dojrzewa zamiar Skiby, w drugim uświęca go familia, w trzecim mamy już wykonanie. A jednocześnie przesuwają się świetne sylwetki: arendarza, wnuka Skiby — Walka, męża Katarzyny Jaśka i prześliczna postać Zośki, wnuczki, jedynej osoby, kochającej starego — oraz rozwija się i rośnie charakter Skiby. Ktoś powiedział, że są dwa rodzaje silnych charakterów: jedne, jak długa, szeroka i płaska równia polna, inne — jak wązki i głęboki szyb kopalni. Skiba należy do tej drugiej kategoryi. Autor „Familii," jak dobry i doświadczony górnik pokazuje nam zawartość takiego szybu. Więc najpierw zwierzchnie pokłady, zamulone pyłem codziennego życia: szorstkość, porywczość, to akt pierwszy. Głębiej — bryłki szczerego kruszcu — to akt drugi — więc: miłość namiętna dla córki, rzewne przywiązanie dla wnucząt, a przedewszystkiem żywiołowa żądza sprawiedliwości. A dalej jeszcze następuje taka warstwa, do której nie zbliżaj się z płomykiem namiętności — inaczej nastąpi wybuch — to akt trzeci.

Ostatnie dwa to już nie dramat. Rozpędowa siła życia załamała się tu niepowrotnie. Pierwsze trzy akty — to budowa bardzo ścisła, jednolita i bardzo naturalna; ostatnie — to luźna przybudówka, chociaż może i powtarza w niektórych liniach naczelny motyw pomysłu. Talent ma także jakieś wewnętrzne niezbadane i niewytłomaczone przypływy i odpływy — czwarty akt jest takim odpływem: jest chybiony i w pomyśle nie jest zupełnie sceniczny. Ta pantomina pożarna, trwająca cały akt, potrzebna była autorowi tylko po to, ażeby wykazać obojętność Skiby wobec grożącej mu sprawiedliwości; jak na pomysł aktu, to trochę za mało.

Pozostaje tylko piąty. Wyobraźmy sobie, że dramat cały skończył się po trzecim akcie (bo tak jest w rzeczy samej), a po przedstawieniu autor przeczytał nam nowelkę p. t. „Śmierć Skiby." Możemy mu być tylko wdzięczni za ten obrazek. Jest tam taki cichy i czysty odlot życia ludzkiego pod szept rosy porannej, pod melodyę dzwonów kościelnych, pod szmer drzew cmentarnych, pod zapach kwiatów polnych, pod mrzącą poświatę wschodzącego słońca i pod modlitwę niewinnej dziewczyny, że chciałoby się pióro krytyczne zamienić na trybularz.

Władysław Sterling.

Z NIEMIEC.

Berlin, 20 listopada.

„Zaborca" Halbego. — Kocia muzyka wyprawiona autorowi. — Publiczność jako sąd artystyczny. — Nowy dramat Hauptmann.

Hermann Bahr, chorąży „Młodego Wiednia" i najznakomitszy ze współczesnych krytyków niemieckich oświadczył w tych dniach, iż ostatnia sztuka Maksa Halbego p. t. „Zaborca" stworzy nową erę w dramatopisarstwie niemieckiem. Pomimo to „Zaborca" nietylko przepadł w berlińskim „Teatrze Lessinga," lecz publiczność pozwoliła sobie w tym wypadku dać swemu niezadowoleniu wyraz w sposób niepamiętny w kronice skandalów teatralnych. Co prawda, nie rzucano w artystów jabłkami i orzechami, lecz za to tupano, sykano, gwizdano, krzyczano i rozmawiano głośno, aby przeszkodzić dalszemu przedstawieniu. Giełdziarze i rentierzy, którzy spędzają w tym teatrze wieczór w kółku rodzinnem, aby potem udać się do zakładu, gdzie dyryguje jakaś hrabina, a tańczy kankana jakaś księżna, ci sami panowie znudzili się, gdy autor ośmielił się odstąpić od miłego im szablonu. Nie dość tego, artyści, widząc co się święci, zaczęli sami śmiechem akompaniować wrzaskowi pasibrzuchów! Wobec tak wyraźnej nagany dla autora krytykom pozostało tylko uderzyć czołem przed opinią publiczną i stwierdzić w formie docinków niepowodzenie sztuki. Literatów atoli tak oburzyło zachowanie się publiczności, iż zaprotestowali przeciwko temu w pismach tutejszych. Na czele obrażonych stanął Rafał Löwenfeld, wspomniany już raz przeze mnie autor rozprawy o Łukaszu Górnickim, dyrektor ludowego „Teatru Schillera." Podniósł on pytanie, czy publiczność ma prawo za nieuznaną sztukę policzkować autora, a raczej do jakiej granicy ma prawo posunąć się w wyrazach swej nagany. Löwenfeld zaproponował szereg reform, aby w ten sposób wydrzeć rolę sędziego półgłówkom, których uprawnia do zasiadania w areopagu jedynie to, iż ich lokaj mógł łatwiej przepchnąć się do kasy dla nabycia biletu.

Maks Halbe, skoro zapomniał o zasadzie, iż nie należy „rzucać pereł przed wieprze" powinien być dumny z tego, iż doprowadził do wycia wstrętną hałastrę, dla której najprzyjemniejszem miejscem zabawy są domy publiczne i towarzystwo 20 markowych kokot. Czyż nie przyjmowano w ten sam sposób przed 7 laty mocarza dramatu niemieckiego, któremu w przeszłym tygodniu złożono hołd uwielbienia za nowy utwór? Czyż ci sami panowie w cylindrach wówczas nie krzyczeli na cały głos: „Wszak to zniewaga sztuki" (*Verhöhnung der Kunst*)? Czyż nie po-

syłano po policyę i nie projektowano pociągnięcia dyrektora do sądowej odpowiedzialności za obrazę majestatu etyki? W przeszłym tygodniu ci sami rycerze moralności z zachwytem patrzyli na Hauptmannowskich szlązaków; ich połowiec lały łzy dla formana Henszla, a oczy iskrzyły się bólem na widok jego rozpaczy. Słowem, to, co przed kilkoma laty wywoływało huragany oburzenia, dziś uchodzi za szczyt doskonałości. Bladolicy wyniosły autor raczył zaledwie kilka razy kiwnąć publiczności za jej łaski, dając tem do zrozumienia, jak mało nadaje wagi jej pochwałom i naganom.

Powierzchowna znajomość arcydzieł Hauptmanna wystarcza, aby zauważyć, jaki silny wpływ wywarły na jego twórczość kierunki malarskie. „Tkacze“ na scenie są odbiciem kopaczy kartofli i cerowaczek sieci uwiecznionych przez pędzel Liebermanna, który lubuje się w scenach ludowych głębokich i potężnych swą prostotą. „Hanusia“ przypomina aż zanadto Uhdego. Zwłaszcza Chrystus z tego utworu jest zupełną kopią Uhdowskiego Jezusa ignącego od nędznych i uciskanych. „Dzwon zatopiony“ świeci odblaskiem postaci Böcklinowskich: bożek wodny nimfy, elfowie, fauny,—wszystko to zdradza dość wyraźnie swe pochodzenie. W nowym swym dramacie „Furman Henezel“ Hauptmann daje nam wykrawek z życia, jaki można napotkać w malarstwie staroholenderskiem, które obiera sobie niewyszukane tematy z codziennego życia, opracowując natomiast w sposób wyrafinowany wszelkie szczegóły. Każda postać występuje dobitnie jak gdyby artyście zależało na obdarzeniu jej indywidualnemi cechami. Hauptmanna „historya jakich wiele“ porusza temat zużytkowany już raz w jego noweli „Dróżnik Thielo,“ z którym *Prawda* zaznajomiła w swoim czasie czytelników w polskiem tłomaczeniu. Zresztą w każdej literaturze można napotkać nowelę lub powieść o tej samej treści, a pomimo to Hauptmann potrafił swemu utworowi nadać oryginalną formę, a w postacie swe tchnąć iskrę rzeczywistego życia.

Furman Henszel zaleca się do swej służącej Hanny. Umierająca jego żona wpadła na trop tego stosunku i widząc, jakiem nieszczęściem byłoby dla męża poślubienie zepsutej dziewki, zmusza go do złożenia przysięgi, iż nigdy tego nie uczyni. Pomimo tego uroczystego przyrzeczenia furman żeni się z Hanną. Dziewczyna bowiem jakkolwiek nie skąpi przedstawicielom płci męzkiej swych łask, traktuje hardo swego chlebodawcę, aby rozpalić jego namiętność do temperatury, przy której topnieją wszelkie względy moralne. Przewraca wszystko do góry nogami, odprawia służbę i zawiązuje miłostki pod okiem małżonka. Dobroduszny zaślepiony Henszel ulega i dogadza we wszystkiem żonie. Ażeby sprawić jej przyjemność, sprowadza do domu nielegalne dziecko, którego się wyparła. Hanna wypędza męża razem z dzieckiem. Zatruwa ona mu życie tak dalece, iż pracowity furman coraz częściej przestępuje próg karczmy. Tu dopiero brat pierwszej żony i jeden z odprawionych parobków opowiadają mu, o czem nietylko kumoszki, lecz i wróble na dachach gadają. Wszak żona jego kursuje jako przedmiot rozkoszy miłosnych z ręki do ręki i dopiero w ostatnich czasach zainstalował się nieco dłużej w jej sercu obieżyświat-kelner. Henszel w napadzie szaleństwa postanawia zabić cudzołożnicę. Lecz w następującej potem rezygnacyi cofa swój zamiar. Rozpacz ogarnia jego duszę, z przeszłości wynurza się cień nieboszczki z wyrzutem na ustach. Obłęd pozbawia go rozsądku i popycha do samobójstwa.

W formie klasycznej pod względem prostoty i zwięzłości autor przedstawił tragizm zatargu pomiędzy duszą naiwną pełną szlachetności i zaufania do ludzi a charakterem wyzutym ze wszelkich pierwiastków etycznych, egoistycznym i brutalnym.

H. F.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

DLA DZIECI. Kalendarze i książki dziecinne—te bociany zimowe literatury rozpoczęły już swój złot. Naturalnie więcej obchodzą nas ostatnie, których jest zawsze bardzo wiele, a dobrych bardzo mało. Z tego względu wyróżnić należy wydany przez znaną wychowawczynię i autorkę, p. Maryę Weryho, zbiór powiastek z ilustracyami p. t. „I ja już czytam,“ dla dzieci, które dopiero wyszły z elementarza. Pozornie zdawaćby się mogło, że treść tych powiastek ma na celu tylko rozrywkę, rozważywszy ją jednak, dostrzegamy w każdym obrazku ukrytą myśl poważną. Druk duży, co jest ważną zaletą książki, a cena (75 k.) pomimo ilustracyi umiarkowana.

— M. Blanc: „Król kości słoniowej,“ przygody myśliwskie z kraju Zulusów i Hotentotów z ilustracyami (146 str.) Dubowski.

DLA LUDU. Autorowie książek dla ludu używają często w opowiadaniach jego gwary i wyrazów skaleczonych. Jest to błąd, gdyż książki tego rodzaju winny mieć na celu nietylko realizm w przedstawianiu życia, ale naukę języka. Jakąż zaś będzie ta nauka, jeśli np. wieśniak w powiastce „Wójt z Baraniej Woli“ Helistana wyczyta: rzyko (rzecze), bynomni (bynajmniej), przez (bez), sykrytorz, lementorz itd. Nie mamy żadnego powodu i potrzeby utrwalać w ludzie błędy mówienia i pisania.

HISTORYA. „Historya Polski,“ podręcznik praktyczny, tom I (151 str.). Dodatek *Wieku*.

HISTORYA LITERATURY. W. Gostomski: „Arcydzieło poezyi polskiej *Pan Tadeusz*“ studyum krytyczne, wyd. II (383 str.). Gebethner i Wolff.

POWIEŚĆ. K. Gliński: „Loty,“ powieść współczesna (360 str.). Fiszer.

POEZYE. Dante Alighieri: „Boska komedya,“ Piekło, przeł. E. Porębowicz.

— J. Cybulski: „Śpiewnik polski,“ wydanie nowe (224 str.). Zbiór piosenek popularnych i ludowych.

HYGIENA. Dr. L Fürst: „Z życia kobiety,“ hygiena okresu dojrzałości kobiety (135 str.). Dubowski.

O PRAWDĘ.

Wacław Sieroszewski (Sirko) ogłosił w ostatnim numerze *Tygodnika Ilustrowanego* list otwarty, treści następującej:

Szanowny Redaktorze! Proszę o łaskawe zamieszczenie w twem piśmie listu, stanowiącego ciekawy, choć smutny przyczynek do charakterystyki naszych obyczajów dziennikarskich.

Przekonany artykułami *Roli* o konieczności oparcia swych sądów na *faktach, faktach i faktach*, oraz *prawdzie, prawdzie i prawdzie*, udałem się do czytelni p. Jana Jeleńskiego (Bielańska nr. 9), o której dowiedziałem się z ogłoszeń *Roli*. Wziąłem abonament i kupiłem katalog drukowany (pisanego dodatku sprzedać mi nie mogli, gdyż był jeden).

W katalogu zatytułowanym: „Katalog drugiej czytelni Jana Jeleńskiego“ (Warszawa, druk *Wieku*, rok cenzury 1883), nie znalazłem „Żywotów Świętych,“ nie znalazłem również dzieł Ojców Kościoła i teologów, lecz cały szereg książek, których tytuły zamieszczam poniżej, wraz z ich charakterystyką, zaczerpniętą z artykułów „*Roli*“ *o czytelniach bezpłatnych* (rok 1898).

...z wielce uczonego dzieła Drapera „Dzieje stosunku wiary do rozumu“ (nr. porządkowy katalogu p. Jeleńskiego 1256) dowiadujemy się, że... *nauka objawiona, to niedorzeczne brednie, zrodzone w ciemności i zarozumiałości* (str. 168); *że przez przymus spowiedzi do ucha księdza, żona i sługi każdego człowieka pod ręką duchownych stawali się szpiegami* (str. 225) itd.“ (*Rola* nr. 22, rok 1898, str. 367, szpalta II, wiersz 22 — cytata dosłowna). I taką książkę p. Jeleński posiada we własnej czytelni!.. od 1883 r., czyli od lat 15.

...*wyczytujemy w dziele „Huss i Hussyci“ mnóstwo napaści na Kościół katolicki...* (*Rola* nr. 22, str. 367, szpalta II, wiersz 20 — nr. katalogu czytelni p. Jeleńskiego 200).

...na str. 216 Legouvé'go „*Ojcowie i Dzieci*“ czytamy, *że Bóg Chrystusa zesłał, o tem nie wątpię, lecz ażeby ten Chrystus miał sam być Bogiem, to przechodzi moje pojęcie* (*Rola* nr. 17, str. 284, szp. I, wiersz 12 — nr. katalogu czytelni p. Jeleńskiego 100).

Czytamy dalej: „*Bóg w przyrodzie*,“ gdzie Flammarion *obala wiarę w dawnego Boga* (*Rola* nr. 17, str. 284, szp. I, wiersz 28 — nr. katalogu czytelni p. Jeleńskiego 218).

Wyliczanie cytat za dużo zajęłoby miejsca, gdyż znalazłem w katalogu ogromną ilość tych wszystkich książek: Wiktora Hugo (nr. katalogu p. Jeleńskiego 202, 256, 270), Zoli (nr. 961, 998, 1,405, 711, 479, 482, 1.279), Drapera (nr. 6 i 1,256) i innych *pornografów, oraz fałszerzy prawdy, które Kościół uznał za niemoralne, antyreligijne i szkodliwe* (*Rola* nr. 21, str. 351, szp. I, wiersz 27).

Jest Buckle: materyalistyczna „Historya cywilizacyi w Anglii“ (nr. katalogu 214) i Ranke: „Historya papieży i papieztwa,“ gdzie *obrzucają błotem duchowieństwo katolickie* w wydaniu „żydowskiego“ *Przeglądu Tygodniowego* (nr. katalogu p. Jeleńskiego 710, str. katal. 17); są dzieła „ateusza“ Świętochowskiego („O Wolterze,“ nr. katalogu 546), „O powstawaniu praw moralnych“ (nr. 137), dzieła potępionego przez *Rolę* Piotra Chmielowskiego (nr. 548, 27, 1,231 itd.); wreszcie: Spencer (nr. 1,039, 1,373); Huxley: „O stanowisku człowieka w przyrodzie“ (nr. 296); Stuart Mill (nr. 251), a nawet „bezecny i wyklęty“ Darwin (nr. 217, 245 i 188 — „O pochodzeniu człowieka“ (*sic!*), oraz istotnie pornograficzny Virey: „O kobiecie pod względem fizyologicznym etc.“ (nr. katal. p. Jeleńskiego 91), któregoby nawet bezwyznaniowiec nie pochwalił.

Są powieści: Zoli, Flauberta: *cudzołożna* „Madame Bovary“ (nr. 1,325), George Sand'a, Dumasa, Ponson du Terraill'a i cały rój książek po polsku, francusku i niemiecku, *które usiłują przez propagandę pornografii i ateizmu osłabić wiarę i podkopać moralność w społeczeństwie* (*Rola* nr. 25, str. 417, szp. I, w. 7).

Gdyby pan Jeleński rozpowszechniał te książki darmo, powiedziałbym: że robi źle, ale w dobrej wierze; że jest szczery, choć błądzi; grzeszy pod wpływem nieświadomości. Ale p. Jeleński robi to za pieniądze, dla zysku. Mam dwa kwity: jeden na abonament jednej książki (30 kop. miesięcznie i 1 rubel zastawu) i drugi na pięć książek (60 kop. miesięcznie i 3 ruble zastawu).

Gdy kobieta upada pod wpływem namiętności, uczucia lub słabości, zwiemy ją grzeszną, ale zupełnie inaczej nazywamy kobietę, która upada dla pieniędzy...

Nie bądźmy złodziejami, nie odbierajmy wiary ludziom, którym wzamian nic dać nie możemy — powiada *Rola* w nr. 25, na str. 417, szp. II, wiersz 63.

— I nie zmuszajmy ich—dodamy od siebie—poznawać się z rzeczami, które *sami uważamy* za błoto i brudy, choćby nam za to płacono 30 kop., a nawet 60 kop. miesięcznie...

Kto ogłaszał publicznie, po dziesięć i więcej razy, że wymienione wyżej dzieła są źródłem rozpusty i bezbożności, kto potępił surowo tych, którzy je czytają i dają do czytania innym, ten nie ma prawa szerzyć „zgorszenia“ sam, za pośrednictwem czytelni publicznej, utrzymywanej pod własną firmą w celach zarobku...

Katalog drukowany (1883) drugiej czytelni p. Jana Jeleńskiego, Redaktora „antysemickiej, klerykalnej i moralnej“ *Roli*, złożyłem w Redakcyi *Tygodnika*.

„Bezbożne“ książki, wzięte z czytelni pana Jana Jeleńskiego, opatrzone numerami i pieczątką z nazwiskiem Redaktora *Roli*, są u mnie;

mogę je każdemu pokazać, jako dowód rzeczowy.

Fakty przytoczone i zestawienia, zrobione przez nas, mówią same za siebie.

Wacław Sieroszewski.

Warszawa, 14 listopada 1898 r.

W DALI.



Lublin. W Sienicy-Różanej (pow. Krasnostawski) powstaje stowarzyszenie oszczędnościowo-pożyczkowe. Kierunek obejmuje zarząd, złożony z trzech członków i radę—z sześciu. W zarządzie ma zasiadać jeden włościanin, w radzie trzech. Pojedynczy udział członka oznaczono na 25 rubli, wkład może dosięgnąć 250 rb. Działalność spółki rozciągać się będzie na okolicę w promieniu 20 wiorst od Różanej. Siedzibą stowarzyszenia będzie budynek po dawnej karczmie, ofiarowany przez właściciela Sienicy ks. Stefana Lubomirskiego. Mieszczą się tam obecnie włościańskie warsztaty tkackie, ale są jeszcze wolne dwie izby i zajazd, gdzie stowarzyszenie urządza skład zakupywanych artykułów i przedmiotów. Co do stopy oprocentowania, postanowiono wypłacać 5% w stosunku rocznym od funduszów składanych do kasy stowarzyszenia, pobierać zaś od pożyczek w gotówce i przedmiotach 7%. Na mocy jednego z artykułów ustawy, stowarzyszeni mogą udzielać bezzwrotnych zapomóg członkom, dotkniętym klęską żywiołową lub nieszczęściem.

Radom. Uchwalono założenie lombardu miejskiego, który wzorowany będzie na takiej samej instytucyi miejskiej, istniejącej w Wołogdzie, ze zmianami, zastosowanemi do praw i warunków miejscowych. Pozostawać będzie w zależności od magistratu radomskiego i pod zwierzchnim dozorem rządu gubernialnego, mianującego urzędników lombardowych: dyrektora, kasyera i buchhaltera. Na początek będzie dyrektorem jeden z urzędników magistratu, a kasyerem — kasyer miejski. Lombard powstaje z bardzo skromnych środków, mianowicie: miasto daje tytułem pożyczki na kapitał lombardowy 5,000 rubli na 4% rocznie, następnie po 500 rubli przez pierwsze trzy lata na administracyę, które z zysków instytucyi kredytowej łatwo będą pokryte, wreszcie udziela bezpłatnego pomieszczenia w jednym ze swych gmachów. — *Gazeta Radomska* przeszła w inne ręce. Może będzie wyraźniejsza. Podobno obok niej ma powstać jeszcze jedno pismo, codzienne, z *obfitym* tekstem. Czy nie za wielkie ryzyko, jak na Radom?

Petersburg. W kwestyi nieuchwytnych zbrodni polskich prowadzą polemikę dwa pisma rosyjskie: „*Mosk. Wied.* — pisze *Syn Otiecz.* — wzięły sobie za cel wytępienie intrygi polskiej i pod tym względem dosięgły słupów Herkulesa. Pierwszy lepszy objaw życia polskiego gazeta moskiewska podciąga pod pojęcie „ruchu antirosyjskiego.“ Niedawno zaatakowała ona papierosy „polskie“ pod nazwą „Zagłoba“; teraz znów wykryła nowy objaw „ruchu anti rosyjskiego,“ i oto co o tem pisze: W jednym z tutejszych miast gubernialnych od niedawna w dni świąteczne i niedziele, przedsiębiorca miejscowy zaczął urządzać widowiska południowe za opłatą od 10 do 50 kop. Widowiska te, jak donoszą gazety polskie, przeznaczone są dla uczniów gimnazyum i dla ludu prostego. Oczywiście na scenie ludowej nie mogą być przedstawiane wszystkie sztuki, grywane w teatrach nie ludowych, ale w osławionym oddawna „liberalnym“ Radomiu nie uznają tej prawdy i antreprener tamtejszy karmi lud radomski sztukami polskiemi „historycznemi,“ odznaczającemi się szowinizmem polskim. Takie widowiska „popularne“ urządzane bywają w fabrycznem miasteczku Sosnowice. Do liczby prób skierowanych ku nasyceniu tutejszych włościan ideami szowinistecznemi, należy niewątpliwie projekt p. Malinowskiego, który w tutejszej gazecie, *Kuryerze Warszawskim*, zaleca żonom i córkom ziemian polskich, ażeby urządzały „kursy praktyczne“ dla obznajmienia dziewcząt wiejskich z gospodarstwem.“ Na to odpowiada *Syn Otieczestwa*: Nie wiemy jakie to są te „historyczne“ sztuki, wystawiane „w liberalnym“ Radomiu, lecz sądzimy, że w nich niema nic „niebezpiecznego,“ albowiem: 1) urządzanie widowisk zależnem jest od pozwolenia władzy i chociażby Radom był nie wiem jak „liberalny,“ to przecież istnieje w nim policya i cenzura. 2) *Mosk. Wied.* nie poprzestałyby nigdy na niejasnej wzmiance o liberalizmie i gdyby coś podobnego istniało w rzeczy samej, to narobiłyby tyle wrzawy, że uciekaj za dziesiątą granicę. Również nieuzasadniona jest napaść na projekt p. Malinowskiego. Trzeba istotnie posiadać wyobraźnię *Mosk. Wied.*, żeby coś liberalnego, a cóż dopiero antyrosyjskiego dostrzedz w tym projekcie. P. Malinowski proponuje, aby dziewczęta uczyły się gospodarstwa: jak pielęgnować drób, kwasić ogórki itp. Czyż pielęgnowanie gęsi lub kaczek może zawierać w sobie coś antyrosyjskiego, a kwaszenie ogórków — liberalnego?“

Mińsk. *Birż. Wied.* opisały losy projektu kursów rzemieślniczych w Mińsku. Ze względu na doniosłość sprawy, podajemy tę notatkę: „Gdy w roku 1895 ministeryum oświaty wezwało kuratorów okręgów naukowych do stworzenia wszędzie, gdzie są zakłady naukowe, wieczorowych i niedzielnych kursów dla rzemieślników, kurator wileński, polecił dyrektorowi mińskiej szkoły realnej, żeby się porozumiał z właściwemi instytucyami i osobami co do potrzeby założenia tego rodzaju w Mińsku. Dyrektor niezwłocznie opracował projekt stosowny, a zarząd miejski obiecał dawać rocznie 800 rubli, co całkowicie zapewniało byt kursom. Pozostało więc tylko zatwierdzenie projektu, zgodnego w szczegółach z kursami, istniejącymi w Kiszyniowie i innych miastach. Ale kancelaryjny sposób prowadzenia sprawy, powstrzymał urzeczywistnienie projektu. Przez cały rok, okrąg drogą korespondencyi żądał ciągle zmian w ustawie lub w redakcyi paragrafów. Te rozprawy akademickie zniechęciły ludzi, którzy gorliwie krzątali się około urzeczywistnienia polecenia, wskazanego w okólniku ministeryum oświaty. Korespondencya, dotycząca kursów zaczęła chodzić z kancelaryi szkoły realnej do kancelaryi dyrekcyi naukowej i z powrotem, aż wreszcie dostała się do kancelaryi Inspektora szkoły rzemieślniczej, gdzie też uwięzła ostatecznie, aż do dnia dzisiejszego. W ten sposób sprawa żywotna otwarcia kursów, zalecanych przez ministra oświaty, przycichła zupełnie.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W ciągu września i października r. b. w różnych miejscowościach państwa powstały 52 straże ogniowe ochotnicze, między innemi w Wiłkomierzu, Grodnie, Wołkowysku, Brześciu Litewskim, Prużanach, Słonimie i Białymstoku.

— Skutkiem zabiegów firm księgarskich: Gebethnera i Wolffa, M. Orgelbranda i E. Wendego, władza wyższa zatwierdziła ustawę kasy przezorności i pomocy warszawskich pracowników księgarskich.

— Ministeryum komunikacyi, jak donoszą *Pet. Wied.*, zamierza wprowadzić obowiązkowy 24 godzinny wypoczynek co dni 15 dla maszynistów kolejowych i ich pomocników.

— W sferach rządowych roztrząsany jest projekt utworzenia instytucyi inspektorek fabrycznych, pod których kontrolą mają pozostawać robotnice fabryczne; posady te mają być powierzane lekarkom.

Rozporządzenie. Zauważono, iż w specyalnych kontrolach, zaprowadzonych stosownie do rozporządzenia p. General-Gubernatora warszawskiego, przy w nowobudowanych i przebudowywanych domach Warszawie, niektórzy z budowniczych zapisują wskazówki dla majstrów, prowadzących roboty, w języku polskim, co nie jest zgodne z obowiązującymi przepisami prawa. Mając na względzie, że, według doniesienia magistratu, od uczniów i majstrów przy egzaminowaniu ich, wymagana jest obowiązkowo znajomość języka rosyjskiego, polecam pp. komisarzom dopilnować, ażeby w przyszłości uwagi budowniczych zamieszczane były we wspomnianych kontrolach wyłącznie w języku rosyjskim.“

Szkoły. Rada instytutu weterynaryjnego w Warszawie usunęła 52 studentów z powodu niewniesienia wpisu.

— W Warszawie przy ul. Zielnej (nr. 5) otwarto szkołę (pracownię) malarską, w której przez zimę uczniowie cechu malarzy pokojowych mogą się ćwiczyć w rysunkach i innych pracach. Zakład może pomieścić 80 uczniów.

— Staraniem zarządu kolei Wiedeńskiej, w Pruszkowie od Nowego Roku ma być otwarta szkoła początkowa dla dzieci pracowników kolejowych.

— Komitet, wyznaczony przez General-Gubernatora do rozpatrzenia projektu budżetu m. Warszawy na rok przyszły, uchwalił na otworzenie nowych 40 szkół początkowych miejskich, nieprzewidzianych w tym projekcie, wnieść około 64,000 rb. Szkoły te, z których 1 dwuklasowa męzka i 1 dwuklasowa żeńska, oraz 28 jednoklasowych męzkich i 10 jednoklasowych żeńskich, będą otwarte w przyszłym roku szkolnym.

Dobroczynność. Zatwierdzono zapis Agnieszk Wawrowej, 4,000 rb., przekazanych warszawskiemu zgromadzeniu felczerów. Odsetki z tego funduszu mają być obracane co pół roku na wsparcia dla podupadłych wdów i sierot po felczerach.

— P. Bloch ofiarował 15,000 rb. na rzecz przytułku św. Franciszka Salezego w Warszawie.

— D. 2 grudnia odbędzie się koncert dobroczynny w Dolinie Szwajcarskiej na rzecz przytułku św Zofii.

— Na Pradze powstała nowa, 35 ta ochrona na 60 dziewcząt ubogich, kosztem dr. Borzuchowskiego.

— Zatwierdzono ustawę Towarzystwa opieki nad domem pracy w Święcianach, gub. Wileńskiej.

Zdrowie publiczne. Departament kolejowy wydał polecenie, ażeby na wszystkich kolejach lekarze oddziałowi co pewien czas objeżdżali swoje oddziały bez względu, czy byli wzywani lub nie, w celu badania stanu zdrowia rodzin i ich ojców.

— Pomoc lekarska w gub. Płockiej już wkrótce będzie zorganizowana sposobem próby na lat trzy. Lekarzami mianowani: Berek Sachorow, Adam Olszewski z Sulejowa, Stanisław Kozłowski z Bielska, Maryan Schwartz z gub. Smoleńskiej i Antoni Butkiewicz z gub. Archangielskiej. Miejsc, w których lekarze ci mają ordynować, jeszcze nie oznaczono, jak również nie mianowano jeszcze lekarzy do pozostałych trzech okręgów. Felczerkami-akuszerkami mianowane: Anastazya Jurgew, Natalia Plucińska, Marya Lwow, Julia Gordon i Marya Dmitrjew. (*Echo płockie i łomż.*).

Koleje i komunikacye. Według zapewnienia *Kuryera Warsz.*, wkrótce będą zaczęte roboty około budowy wązkotorowej kolei Jabłońskiej. Zacznie się ona od stacyi Jabłonna do Jabłonny Starej, a stąd wzdłuż szosy, za rowem, ciągnąć się będzie w prostym kierunku do rogatki petersburskiej. Następnie skierowana będzie ku Wiśle przez park praski pod most miejski. Stąd po wale pójdzie do starej rogatki grochowskiej, a później, po okrążeniu cmentarza na Kamionkach, na szosę za nową rogatką grochowską i następnie już poprowadzi w prostej linii do Wawra, z odnogami do Płudów, Pragi nadwiślańskiej, Bródna i Saskiej Kępy. Cała linia (łącznie z bocznicami) ma być ukończona w ciągu lata przyszłorocznego, a w następnym roku będzie przedłużona do Pułtuska i Dębego Wielkiego.

Wystawy i zjazdy. W Petersburgu 12 grudnia odbędzie się zjazd przedstawicieli 14 okręgów przemysłu młynarskiego.

— W pierwszych dniach grudnia r. b. odbędzie się w Petersburgu drugi zjazd międzynarodowy przedstawicieli kolei.

— Przeszłoroczny zjazd ogólno-państwowy farmaceutyczny głównie obradować będzie nad zwiększeniem poziomu wykształcenia ogólnego i specyalnego pracowników aptekarskich. (*Peterb. Wied.*).

— W Kielcach odbył się zjazd właścicieli gorzelni. Rezultatem narad było wysłanie do p. ministra skarbu telegramu z prośbą o podwyższenie normy opłaty za okowitę, dostarczaną do zarządu monopolu, ze względu na liche urodzaj kartofli i opłakany stan dróg dojazdowych.

Przemysł i handel. W Odesie powstaje „bank budowlany,“ którego działalność będzie skierowana ku zapewnieniu ludziom niezamożnym środków nabycia własności nieruchomej. Bank ma otwierać swoje oddziały w miastach, dotkniętych przesile-

niem mieszkaniowem. Instytucya taka pożądana byłaby i u nas.

Odpowiedzi Redakcyi.

X. X. Nie tyle podobieństwo tego obrazka do innego utworu, ile jego nieprawdopodobieństwo jest rażącem. Co to było? Artyzm, gorączka, obłęd? Za mało psychologicznego usprawiedliwienia, a za wiele nadzwyczajności.

O. R. Niech się Pani zwróci z listownem zapytaniem do stowarzyszenia akademickiego „Unia" (rue Lausanne, Hôtel de la Grappe). Ono udzieli wszelkich objaśnień.

Czytelnikowi. Wiersze Pańskie są albo całkiem niezrozumiałe, albo też należą do utworów rodzonych w tym stanie, kiedy to poeta — jak Pan mówi:

W nocnej dobie
Siedzi sobie
I myśli
I kreśli.

Niestety, nie wszystko kreśli.

Panu Bol. Troj. w K. Forma wierszy ułomna, a przytem pusta. Niech się Pan zastanowi, co to znaczy: „wzrok w więzy spowity," „usta krwawe jak ogniwa," „lodem rubin ich pokrywa"? Przecież nawet poezya nie jest mechanicznem zestawianiem wyrazów.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 13 Ноября 1898 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, Nr. 8.